Nr. 8. Kraków, 15 Kwietnia 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek polityczno-ekonomiczny.

Od Administracyi.

Przypominamy Sz. Prenumeratorom kwartalnym, że czas odnowić przedpłatę, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu naszego pisma.

Z CHWILI.

(Sejm galicyjski. — Wiec kobiet we Lwowie. — Zamach anarchistów w Kościelcu. — Pojedynki).

Ostatnia kampania sejmowa trwała pięć tygodni, t. j. od 3 marca do 9 b. m. Parlament nasz, niezwołany wcale w r. u., miał przed sobą trudne bardzo zadanie, któremu w części zaledwo zdołał sprostać.

Wiele przedłożeń, jak projekta ustawy łowieckiej i o policyi ogniowej musiały, dla braku czasu, spaść z porządku obrad. Ostateczne uchwały sejmu ograniczyły się do:

a) wstawienia do budżetu 200.000 złr. (rocznie), dla polepszenia doli nauczycieli ludowych;

b) przeznaczenia 100.000 złr. na rzecz dotkniętych nieurodzajem włościan;

c) założenia gimnazyum ruskiego w Kołomyi i zreformowania szkoły rolniczej w Dublanach na internat;

d) pokrycia deficytu budżetowego za pomocą podwyższenia dodatków do podatków o 3 centy (tj. do 39 centów od guldena) i zaciągnięcia pożyczki 4% w sumie 1,600.000 złr.

Wnioski w sprawie reformy ordynacyi wyborczej spotkał los opłakany, gdyż ubito je z miejsca, bez odsyłania do komisyi.

Książe-marszałek, zamykając sesyę, wyraził nadzieję, że powita jeszcze posłów na jesieni b. r. Pragnąć należy, aby się nadzieja ta ziściła, choć wątpimy, czy rząd zadość uczyni naszym uprawnionym żądaniom, tem bardziej, iż najbliższa sesya rady państwa nie będzie prawdopodobnie przed delegacyami zamkniętą, jeno odroczoną. —

We Lwowie odbył się 11 b. m. wiec kobiet postępowych pod przewodnictwem znanej literatki p. Próchnikowej. Niejednokrotnie już mieliśmy sposobność wyrażać nasze zapatrywania na prądy emancypacyjne wśród kobiet, że przypomnimy tylko artykuł pióra dra Massoniusa, napisany, z okazyi wniosku dra Karłowicza na zjeździe przyrodniczym w Krakowie (Nr. 6 „Myśli“ z r. u.) Okoliczność ta zwalnia nas poniekąd od ponownego, zasadniczego traktowania kwestyi wyższego kształcenia kobiet; ograniczymy się na zreasumowaniu rezolucyj ostatniego wiecu. A więc p. Kobryńska, rusinka, zaprojektowała założenie Towarzystwa na wzór czeskiej „Minerwy“, celem utworzenia prywatnego gimnazyum żeńskiego (uchwalono). Na wniosek p. Czaykowskiej uchwalono wysłać petycyę do rady państwa o dopuszczenie kobiet do szkół średnich i uniwersytetów.

Przewodnicząca p. Próchnikowa wygłosiła odczyt na temat walki kobiet o prawa polityczne i zaprojektowała wniesienie petycyi o dopuszczenie kobiet do stowarzyszeń politycznych (uchwalono). Następnie p. Koszycka przedstawiła smutny stan polskich kobiet-robotnic, a p. Goldfarbowa skreśliła opłakaną dolę nauczycielek ludowych i wniosła rezolucyę, domagającą się zniesienia posad bezpłatnych praktykantek i zapewnienia awansu w szkole po upływie pewnych lat służby.

Dla przeprowadzenia tych rezolucyj wybrano komitet, z dziesięciu osób złożony, w którego skład weszły: pp. Próchnikowa, Kobryńska, Frankowa, Błotnicka Marya, Lilienowa Adolfowa, Lövensteinowa, Koszycka, Czaykowska, Goldfarbowa i Biegeleisenowa.

Uchwalono jeszcze wysłać dwie delegatki pp. Próchnikową i Koszycką na ogólny austryacki wiec kobiet do Wiednia w czerwcu b. r. i sprawozdanie z wiecu ogłosić drukiem w języku polskim i ruskim.—

Silne wrażenie w całej Polsce i poza jej granicami wywarł fakt zamachu anarchistycznego na ks. prałata Ponińskiego w Kościelcu (w Ks. Poznańskiem). Czterech łotrów, mieniących się „polskimi anarchistami“ napadło czcigodnego kapłana w jego mieszkaniu, żądając odeń pieniędzy. Gdy ks. Poniński wezwał ratunku, zbóje wystrzelili z nabojów i ranili go dość ciężko. Włościanie puścili się za uciekającymi w pogoń i dwóch zabili, trzeci zabił czwartego, poczem sam się zastrzelił.

Według prywatnego doniesienia z Kościelca stwierdzono już ostatecznie nazwiska czterech anarchistów. Byli to: Wilachowski, Grześkiewicz, Oskar Dräger i Żukowski. Wszyscy podobno mieszkali w ostatnim czasie w Berlinie. Władze policyjne od dawna już śledziły wszystkich czterech anarchistów i dopiero w ostatnich trzech dniach przed zbrodnią z oczu ich straciły. O Żukowskim podają wiadomość, że przez trzy lata mieszkał w Paryżu, trudniąc się snycerstwem, a następnie już przez półtora roku przebywał w Berlinie.

Jak się zdaje anarchiści ci zamierzali wykonać cały szereg podobnych zamachów, jak w Kościelcu i w tym celu mieli przy sobie mapę Ks. Poznańskiego, na której sobie pozaznaczali wszystkie wsie kościelne. Byli oni już w Łubowie i widocznie chcieli ograbić księdza Krawczyńskiego.

Tragiczny epilog głośnej sprawy pojedynkowej, której ofiarą padł ś. p. Eugeniusz Brodzki, nasuwa najrozmaitsze refleksye na temat zadośćuczynienia obrażonej czci ludzkiej.

Wkrótce poświęcimy oddzielny tej sprawie artykuł. dziś zaś ograniczymy się na powtórzeniu kilku śmiałych uwag, jakie kreśli z powodu ostatniej afery na granicy rumuńskiej, tygodnik *Trybuna:*

„Jeżeli podobnie smutne i złe wypadki mogą mieć jaką dobrą stronę, dobry skutek, to chyba ten, iż tragiką swoją, poruszają do głębi umysły i serca ogółu, a przed oczyma jego stawiają w zupełnej nagości jaskrawe absurdum, do jakiego wiodą w praktyce z gruntu fałszywe pojęcia społeczne i społeczne dogmaty, powszechnie uznawane i szanowane, chociaż bezwstydnie sprzeczne z etyką, logiką i wszystkiem, co prawdziwie rozumne i uczciwe. Żadne kodeksy, żadne paragrafy, żadne morały, żadna władza i jednostka żadna, w tej odwiecznej „kwestyi pojedynkowej“, niczego nigdy nie zdziała, żadnej reformy nie przeprowadzi. Kwestya ta bowiem leży ściśle w zakresie dobrowolnych umów społecznych, jest wytworem t. zw. opinii publicznej, która coraz bardziej świadomą się staje, jak nieznośne i śmieszne kajdany sama sobie nałożyła, na jak komiczne lub tragiczne, lecz najczęściej niesprawiedliwe i niemoralne musi patrzyć rezultaty swoich zboczonych wyobrażeń i zasad. W tej też opinii ręku jedynie widzimy miecz, zdolny rozciąć węzeł czy wrzód społeczny, w który dzisiejsze pojedynki coraz regularniej przemieniać się poczynają; jedynie ta opinia sama, zdolna i powołana dobrowolną umowę dobrowolnie rozwiązać lub zmienić. według tego, co jej dyktuje nabyte wiekami doświadczenie i współczesna cywilizacya“.

I. Kuch.

REFORMA WALUTY
w Austro-Węgrzech.

III.

Przechodząc poszczególne pytania, postawione ankiecie, należy nad pierwszem szerzej się zastanowić, gdyż ono jest właśnie dotąd najsporniejszem tak w teoryi, jak i w praktyce i ma za sobą już wcale pokaźną literaturę, a — powiedzmy to z góry i otwarcie — dowody, jakie zwolennicy dwóch przeciwnych obozów przytaczają są najczęściej obosieczne. Po wykluczeniu systemu waluty papierowej, której wady powyżej podano, pozostaje możliwość systemu monometalicznego lub bimetalicznego. Co do pierwszego systemu oświadczyli się monometaliści ostatnich czasów tak w teoryi jak i w praktyce przeważnie tylko za monometalizmem złota, podobnie jak i monometaliści obecnej ankiety. Odmawiają oni mianowicie srebru wszystkich tych zalet, jakie posiadać winien kruszec, przydatny na pieniądz.

Między innemi utrzymują przeciwnicy sre-

bra, że produkcya srebra wzrosła od lat 30 w 4-nasób; materyał zaś, którego produkcya tak się wzmaga nie daje gwarancyi stałej wartości wobec coraz większego popytu. Nawet całkowite zapotrzebowanie całorocznej produkcyi srebra (około 4 milionów kilogramów) nie jest jeszcze argumentem, przemawiającym za srebrem, a osłabiającym złe skutki nadprodukcyi takowego. Obecnie bowiem rząd Stanów Zjednoczonych, w myśl obowiązującej tamże ustawy, zakupuje rocznie co najmniej 1·7 milionów kilogramów srebra, co nie pozwala na razie jasno skreślić złych rezultatów nadprodukcyi srebra, jakieby wyniknąć miały na wypadek zmiany stosunków monetarnych w Stanach Zjednoczonych. Od połowy zaś tego stulecia t. j. po odkryciu bogatych pokładów złota w Kalifornii i w Australii — odpadł ostatni a bodaj czy nie najsilniejszy argument, przemawiający za koniecznością monetarnego użycia srebra, t. j. obawa przed brakiem dostatecznej ilości złota, któraby mogła zaspokoić potrzeby monetarne całego świata. Okazała się już zbyteczną i nieudałą myśl podziału świata na 2 odrębne półkule monetarne, z ktorych jednej przypadłoby złoto w udziele, a drugiej srebro, myśl, która powstała w mózgu najzagorzalszych przeciwników bimetalizmu.

Zwolennicy złota a jednocześnie przeciwnicy srebra opierali się silnie na prawie Grashama, stwierdzającem zasadę, że zły pieniądz usuwa z kraju dobry, ten zaś nie potrafi złego wyplenić. Za lepszy zaś pieniądz uważają monetę bitą złotą, która ma wyższą wartość przy mniejszej wadze i nadaje się lepiej do obiegu monetarnego i zamiany przy większych tranzakcyach. Zgadzają się również i na prawo lorda Liverpoola, że z wzrostem kultury staje się miernikiem wartości tylko najkosztowniejszy kruszec, który służy do zaspokojenia najlepszych potrzeb; złoto zaś jest na razie owym najkosztowniejszym materyałem, posiadającym i inne dla pieniądza potrzebne warunki.

Monometaliści, jako zwolennicy złota a przeciwnicy bimetalizmu, przyłączają oprócz powyższych przeciwko srebru wymierzonych zarzutów jeszcze inne wyłącznie przeciw s y s t e m o w i podwójnej waluty. I tak twierdzą, że ustawa może przepisać, ale nie może stale utrzymywać wartościowego stosunka obu kruszców, że mianowicie nie ustawy, lecz stosunki handlowe, podaż, popyt i koszta produkcyi stanowią o wartości kruszców, skutkiem czego oznaczony ustawą między kruszcami stosunek będzie tylko martwą literą wprawdzie obowiązującą nominalnie, lecz w rzeczywistości jeden z nich będzie tańszy i ten w kraju się zostanie, droższy zaś pójdzie za granicę, bo go tam wyżéj cenią. Nastanie więc de facto wbrew ustawie albo waluta złota albo srebrna. Za przykład w tej mierze służyć może Francya za Ludwika Filipa, kiedy srebro się ostało, a złoto wywieziono za granicę, za Napoleona zaś złoto się ostało w kraju a znikło srebro. Taki zaś stan waluty naraża, według zdania monometalistów, sfery interesowane na niepewność i ewentualne straty wierzyciela i w ogóle tych wszystkich, którzy pobierają dochody, czy też spłaty według pewnych z góry i stale co do wysokości oznaczonych kwot, a dalej pobudza do spekulacyi, liczącej na przyszłą zwyżkę cen, spowodowaną zniżką wartości pieniądza. Wreszcie przy jednym kruszcu istnieje jednolita miara, wartość monety z jednego kruszcu nie ulega tak częstej fluktuacyi w jednym kierunku, podczas gdy przy dwóch kruszcach możliwą jest fluktuacya wartości każdego z nich.

Przeciwko powyższym wywodom występują b i m e t a l i ś c i z naczelną zasadą, że państwo m o ż e drogą ustawy nietylko oznaczyć, lecz i ustalić wzajemny stosunek wartości obu kruszców i że dla zapobieżenia złym skutkom obniżenia się wartości jednego z kruszców wbrew ustawie — należałoby po rozważeniu dokładnem, jaka suma złota i srebra jest obecnie w obiegu i w posiadaniu prywatnem i jaka corocznie produkowaną być może, ustanowić stosunek wartości obu kruszców drogą ugody międzynarodowej i w ten sposób uczynić walutę podwójną zarazem wszechświatową. A wtedy obniżka lub zniżka wartości jednego z kruszców mogłaby i musiałaby znaleść swą granicę w efektywnych kosztach przesyłki kruszcu z miejsca, w którem się znajduje, do miejsca, w którem chwilowo jest potrzebnym. A koszta te przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych i bezpieczeństwie przewozu są prawie minimalne. — A dalej przytaczają bimetaliści, że produkcya złota jest już dziś niedostateczą dla potrzeb monetarnych i wzrastającego upodobania społeczeństwa do wyrobów złotych, że jeśliby doszło do tego, iżby tylko kilka jeszcze mocarstw przyjęło walutę tylko złotą, złotaby zabrakło a wobec wielkiego popytu cena złota w ręku jednostek, będącego podnieść by się musiała powodując przesilenie ekonomiczne. Każde zaś drożenie monety sprowadza równocześnie spadek cen towarów na targu świata. Podrożenie monety stanowi zysk dla tych, co drogą umowy nabyli już prawa, a więc dla wierzycieli, dla kapitalistów, wogóle dla klasy posiadającej, — jest zaś stratą dla tych, którzy zmuszeni byli szukać kredytu. Albowiem umowa między wierzycielem a dłużnikiem brzmi zawsze na pewną z góry oznaczoną kwotę; tę wypełnić jest obowiązkiem dłużnika pod rygorem ustaw bez względu na to, czy wartość tej kwoty, którą następnie uiszcza, jest wyższą, niż była ta kwota w chwili zawarcia umowy. Na tem i państwo i każdy poszczególny kraj traci, mając spłacać w ten sam sposób dawnych wierzycieli. Wreszcie i producenci, gdy skutkiem podrożenia monety, towar przez nich wyprodukowany straci na wartości, muszą obniżyć koszta produkcyi a nie mogąc łatwiej w innym kierunku tego uczynić, dokonują całej operacyi na robotniku, obniżając mu wysokość płacy. Wobec silniejszego ekonomicznie, jakim jest producent względem robotnika, niema dla rzeszy pracującej innego punktu wyjścia, jak obniżyć własne i tak już idealnie skromne wydatki. (C. d. n.)

Julian G.

SIGNUM TEMPORIS*).

(POLEMIKA).

W ślad za osławionym pamfletem niemieckiego „wolnomyśliciela“ pana Richtera, kłopoczącego się o to, kto w państwie przyszłości czyścić będzie buty, skoro zaprowadzoną zostanie równość bezwzględna wszystkich członków społeczeństwa — pojawiają się i u nas coraz częściej żałośliwe skargi na „niwelacyjną“ działalność społecznej demokracyi, podciągającej rzekomo pod jeden szablon wszystkie charaktery, talenta i zmysły i zdążającej wszelkiemi siłami do „usunięcia potężnych indywidualności“. Jeden ze świeżych płodów żałości i trwogi — przyniósł ostatni numer „Myśli“ w postaci artykuliku, napisanego zamaszyście i z podziwu godną... powierzchownością, która nam w bezimiennym autorze odrazu pozwoliła odgadnąć d y l e t a n t a w całem tego słowa znaczeniu. Z tego tytułu mielibyśmy prawo przejść nad nim do porządku, gdyby nie istotna znamienność tego wystąpienia, cechująca dosadnie ogólny u nas brak znajomości w zakresie nowoczesnych prądów społecznych. Można bowiem wybaczyć tanie zachwyty i jeszcze tańsze zawodzenia bezkrytycznej młodości; kiedy się niemi atoli popisuje „siwizną przyprószona“ ograniczoność, nie wystarczy pobłażliwe wzruszenie ramionami.

Kamieniem obrazy, dla autora artykuliku „Signum temporis“ jest „jedno z bardzo wybitnych znamion współczesnej epoki, mianowicie: dążność do usunięcia potężnych indywidualności“, której „jeżeli nie jedynem, to z pewnością głównem źródłem“ ma być kierunek socyalno-demokratyczny naszej epoki. Dla uzasadnienia i poparcia swego twierdzenia powołuje się autor na upadek Bismarka w Niemczech, Tiszy na Węgrzech, Crispi'ego we Włoszech i Constans'a we Francyi — stanowi on dla niego aż nadto wymowny dowód, że „epoka współczesna nie jest epoką rozwiniętego indywidualizmu“. Za nieuszanowanie wybitnych indywidualności pomienionych mężów dostają się od bezimiennego autora cięgi Wilhemowi II-mu, Szaparyemu, Rudiniemu, Loubet'owi i socyalnej demokracyi(!). Już samo zestawienie nazwisk „bohaterów indywidualizmu“, do których autor jeszcze wlicza Talleyranda, Metternicha, Gorczakowa itp. *(sic!)* świadczy albo o niekrytycznym, młodzieńczym dla głośnych imion zachwycie, albo o kompromitującej nieznajomości dziejów przeszłych i nowszych; inaczej niepodobna sobie wytłomaczyć kołowacizny, której autor niezbite w artykule swoim złożył dowody. Upadek żelaznego księcia stoi niezawodnie w związku z wzrostem społeczno-demokratycznej partyi w Niemczech, ale „historyozoficznej“ (jak ją autor nazywa) przyczyny tego faktu należy szukać nie w potędze indywidualnej Bismarka, ale w jego despotycznych rządach, przygniatających wszelki silniejszy wzrost indywidualizmu i w systemie ucisku, zdążającego do zniwelowania i podciągnięcia pod jeden szablon militarny kilku odrębnych i to nie jednostkowych, ale n a r o d o w y c h indywidualności. Społeczna demokracya walczy nie z indywidualizmem, ale z despotyzmem, będącym jego konsekwencyą w dzisiejszym ustroju społecznym. Indywidualizm, posunięty do granic najzupełniejszej swobody, nie znającej żadnych zapór i ograniczeń — jest jądrem teoryi a n a r c h i s t y c z n e j, której urzeczywistnienie znajdujemy w zamachach paryskich.

Socyalizm zaś a anarchim — to dwa pojęcia s p r z e c z n e, wykluczające się nawzajem.

Indywidualizm burżuazyjny, objawiający się dzisiaj w postaci „wielkich“ dyplomatów lub „genialnych“ finansistów — jest surogatem

*) W odpowiedzi na artykuł pod powyższym tytułem, zamieszczony w Nrze 7. „Myśli“, otrzymujemy skądinąd następujące uwagi. Łamy naszego pisma stoją otworem dla dalszej w tej ważnej kwestyi dyskusyi. (Przyp. Red.).

Nr. 8. Kraków, 15 Kwietnia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartał. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

WIELKI PEDAGOG.

(Jan Amos Komensky).

(Korespondencya „Myśli“).

Praga, 3 kwietnia.

Dnia 28 z. m. odbył się w całych Czechach obchód 300-nej rocznicy Amosa Komenskiego, głośnego pedagoga czeskiego. Urodził się on, jak Palacky, na Morawie, i to w miasteczku Uherskim Brodzie, a jak Rieger, był synem młynarza. Rodzina jego należała do sekty tak zwanych „braci czesko-morawskich“, t. j. jednej z licznych sekt husyckich, które pod koniec XVI. wieku urzędownie połączyły się z luteranizmem, chociaż zachowały pewne właściwości. I dziś jeszcze istnieją w Czechach i na Morawach niektóre takie sekty, urzędownie zaliczane do protestantyzmu, ponieważ same nie tworzą uznanego przez państwo wyznania. Także Palacky pochodził z rodziny, należącej do takiej sekty, chociaż uchodził za luteranina, gdy zięć jego Rieger należy do kościoła katolickiego.

Młody Jan Amos Komensky wcześnie wstąpił do szkoły braci czeskich w Strasnicach; w r. 1610, licząc lat 18, udał się na wszechnicę w Herbornie w Nassawie, potem do Heidelbergu, następnie podróżował po Niemczech i Hollandyi, tworzącej naówczas literackie ognisko protestantyzmu. Powróciwszy w r. 1614 do kraju, objął kierownictwo szkoły (gimnazyum) w Przerowie, w r. 1616 został wyświęcony na duchownego i otrzymał posadę pastora i dyrektora szkoły w Falneku na Morawii. Po bitwie pod Białą Górą wojska cesarskie dotarły także do tego miasteczka, które zburzyło, przyczem Komensky utracił bibliotekę. Przez następne lata przebywał w dobrach marszałka krajowego Morawii Zierotina w Brandyżu, gdzie powtórnie zawarł śluby małżeńskie z córką biskupa „braci czeskich“ Cyrilla i napisał znane dziełko allegoryczne „*Labirynt świata*“, zakończone morałem: „Wróć, zkąd przyszedłeś: do ogniska serca swego i zamknij drzwi za sobą“. We 200 lat potem do tego samego wniosku doszedł — Schopenhauer! Wymienione pisemko dostąpiło wielkiej popularności, a „bracia czescy“, opuszczając kraj, jak nam powiada jedna z ich piosenek, nie zabierali z sobą niczego, tylko Pismo święte i *Labirynt świata*.

W r. 1628 Komensky z garstką „braci“ przeniósł się do Leszna, w obecnem W. Ks. Poznańskiem, gdzie pod opieką kalwina Rafała Leszczyńskiego, kierując równocześnie szkołą dysydencką, napisał najprzód po czesku, potem, „aby się przysłużyć całemu światu“, dzieło *Didactica magna* (1637), czyli zbiór podstawnych zasad pedagogii, drugie główne dzieło: *Janua linguarum reserata* według wzoru gramatyki, wydanej przez Jezuitów w Salamance; dzieło to niebawem doczekało się przekładu na wszystkie europejskie i niektóre azyatyckie języki. Wreszcie w tym czasie powstał jeszcze *Pansophiae prodromus* czyli wstęp do wszechwiedzy. Cały system panzofii czyli po dzisiejszemu wielkiej encyklopedyi, zamierzał wykończyć w Anglii, dokąd wezwał go parlament. W roku zatem 1641 przeniósł się Comenius do Anglii, atoli zawiedziony w swych nadziejach, niebawem przyjął zaproszenie bogatego Szweda Ludwika van Geer i udał się do Sztokholmu.

Za wpływem kanclerza Oxenstierny otrzymał posadę w Elblągu, gdzie spędził sześć lat i napisał dzieło *Methodus linguarum*. Po traktacie westfalskim, który „braci czeskich“ nie przyjął do rzędu wyznań uprawnionych, Komensky osiadł znowu w Lesznie, w roku zaś 1650, na wezwanie Zygmunta księcia Rakoczego pojechał do Saros-Pataku, celem zorganizowania tamtejszego liceum. Tam zabawił cztery lata i pominąwszy prace dyrektorskie, wydał jedno z nasławniejszych dzieł swoich: *Orbis pictus* czyli *Świat w obrazach*, a właściwie pierwszy ilustrowany podręcznik nauki czytania, o którym Herder zauważył, że przez 150 lat nie wyszedł żaden odpowiedniejszy. Komensky był stanowczym przeciwnikiem łaciny i zalecał używanie języka ludowego. Dla tego w jednej z mów, wygłoszonych w Saros-Pataku, oświadczył: „O kochany ludzie węgierski! staraj się posiadać książki szkolne w języku węgierskim. Wzbogacaj kraj dobremi i mądremi książkami, napisanemi nietylko w języku łacińskim, lecz także w ludowym. Dlaczegoż chcecie być obcymi w waszych własnych szkołach i książkach?“.

Jako prawy epigon zamiłowanych we włóczędze po świecie humanistów, Comenius niedługo wytrzymał w Węgrzech. W roku 1654 powrócił znowu do Leszna, gdzie go „bracia czescy“ wybrali na swego biskupa. W wojnie ze Szwedami Leszno stało się ofiarą pożaru, przy czem znowu, jak w Fulneku, spaliły się książki i rękopisy Komenskiego, mianowicie zebrane od 44 lat materyały do słownika czeskiego, jako też rękopis jego „panzofii“, którą uważał za najszczytniejsze swoje dzieło. Z Leszna przeniósł się do Amsterdamu, gdzie spędził ostatnie lata życia, wspierany przez syna swego dawnego mecenasa Wawrzyńca van Geer. Umarł tam 15-go listopada 1671 r., ogłosiwszy krótko przed tem pod tytułem *Unum necessarium*, jakoby pożegnanie od (trzeciej) żony, braci i świata. „Braćmi mymi, powiada tam, nazywam tych wszystkich, którzy wzywają imię Chrystusa, tych wszystkich, którzy są tej samej krwi, całe potomstwo Adama i Ewy, zamieszkujące kulę świata“.

W umyśle Komenskiego kojarzyły się, czasem zaś walczyły z sobą dwie władze odmienne: zdrowy rozsądek, tak zwany *bon sens* i nader bujne wyobrażenie. I tak w swej wielkiej dydaktyce przyrodzone, antropologiczne podstawy pedagogiki wykłada ze ścisłością przyrodnika, równocześnie zaś zbierał przepowiednie i wizye „proroka“ Drabika, które ku wielkiemu zgorszeniu przyjaciół wydał pod tytułem: *Lux in tenebris*. Odkrywszy drogą ścisłego rozumowania ważną prawdę, że wyrazy powinny się nakłaniać do rzeczy, nie zaś odwrotnie, natychmiast, uniesiony bujną wyobraźnią, marzy o wynalezieniu nowego języka, w którym każdy wyraz samem swem brzmieniem duchowi uprzytomni przedmiot, który oznacza. Pomimo podobnych wybryków zbyt żywej wyobraźni, czysto pedagogiczne teorye Comeniusza doczekały się wielkiej sławy. Wnioski jego, — powiada Herder — są tak proste, że od razu pojmuje je każdy człowiek, a Remusat dodał: *Mais il fallait du génie pour avoir ce bon sens.*

Obchód jubileuszu, o ile miał się odbyć przy udziale dziatwy szkolnej, doznał pewnych przeszkód. Minister oświecenia baron Gautsch 26-go lutego wydał rozporządzenie, zabraniające świątecznego obchodu w szkołach 28-go marca. Tymczasem 24-go z. m. wstępny akt jubileuszu odegrał się w radzie miejskiej. Na to posiedzenie, w świątecznych strojach, przybyli wszyscy radcy, z wyjątkiem duchownych. Burmistrz Szolc zagaił posiedzenie przemową, że cały świat obchodzi jubileusz Komenskiego*); nie czcimy, dodał, w Komenskim ani polemika braci czeskich, ani egzulanta, lecz wielkiego pedagoga, który utorował drogę nowoczesnej szkole świeckiej; główną jej zasadą, w myśl nauki Komenskiego, jest, aby dziecko czeskie było wychowywane w szkole czeskiej; wreszcie dr. Szolc oświadczył, że rozporządzenie ministra Gautsch'a wywołało w Czechach powszechne oburzenie. Następnie rada miejska jednomyślnie uchwaliła przekazać 5.000 złr. czeskiej Matice Szkolskiej, 1.000 złr. czeskiej szkole w Wiedniu imienia Komenskiego, nazwać jeden z głównych placów Pragi jego nazwiskiem i wywiesić w dzień jubileuszu chorągwie z gmachów miejskich.

Sądzę, że „Myśl“ wasza, skrzętnie notująca każdy objaw cywilizacyjnego rozwoju naszych pobratymców, Czechów, nie zapatruje się na pełną zasługi działalność Komenskiego ze stanowiska parafiańskiego lub sekciarskiego. Cały świat inteligentny czci w pedagogu XVII. wieku odrodziciela szkoły

*) Na cześć Komensky'ego odbył się w Galicyi tylko jeden wieczorek, mianowicie we Lwowie. (Przyp. Redakcyi).

czeskiej, uznaje w nim głębokiego myśliciela i pioniera postępu, bez względu na jego indywidualne przekonania religijne. Dlatego też odosobniony — na szczęście — głos jednego z organów konserwatywnych polskich (acz w pierwszej chwili wywarł tu silne, może nawet zbyt silne wrażenie), nie zamąci pewnie święta jubileuszowego, jakie Czechy obecnie obchodzą.

Wiadomo Wam może, że podniesiono tutaj w pewnych kołach niefortunną myśl, aby czeskie „Sokoły" odmówiły uczestnictwa w uroczystościach sokolskich we Lwowie, a to dla zamanifestowania swego oburzenia, z powodu artykułu krakowskiego pisma zachowawczego. Dowiaduję się, że projekt ten, zrodzony pod wpływem chwilowego rozgoryczenia, nie będzie urzeczywistniony, a wiadomość ta niewątpliwie przyjętą będzie radośnie nietylko przez „Sokołów", lecz i przez całe społeczeństwo galicyjskie.

N.

W SPRAWIE NOWEGO TEATRU KRAKOWSKIEGO *).

Ze strony bardzo poważnej otrzymujemy następujące uwagi. Podzielą je niewątpliwie ci, którym nie obojętny jest rozwój narodowej sceny w Krakowie:

„Autor „Szambelanów", p. Wincenty Wdowiszewski poświęcił krakowskiemu mieszczaństwu i jego reprezentacyi gminnej, znanym z rozwagi i ofiarności dla dobra ogółu, broszurę „W sprawie nowego krakowskiego teatru". W pierwszej części autor rozwodzi się z pewną przesadą nad znaczeniem nowego gmachu teatralnego, uważa bowiem postawienie go za czyn tak wielki, jak odbudowanie Polski. Trudno przyjąć bez uśmiechu zapewnienie, że „oczy całej Polski są zwrócone na Radę miasta z ciekawością, komu kierownictwo teatru powierzy". Dajmy pokój „całej Polsce", a powiedzmy po prostu, że w interesie mieszkańców Krakowa i jego okolic, oraz w interesie sztuki scenicznej należałoby życzyć sobie, aby nowe miejsce zabawy dostało się w ręce odpowiednie, umiejące podnieść upadłą scenę i dać pożywniejszą strawę publiczności, aniżeli ją dawali i dawać muszą przedsiębiorcy, dbający o własną kieszeń i pozbawieni wszelkiego prawa do prowadzenia teatru. Ma więc p. Wdowiszewski zupełną słuszność, przemawiając dalej za wzięciem teatru pod własny zarząd gminy. Oba stałe teatry galicyjskie były rodzajem pachtu, który jeden pachciarz odstępował drugiemu za umówioną cenę „odszkodowania". Do jakich to rezultatów doprowadza, widzimy bardzo jasno z ostatnich lat sceny krakowskiej, a przyszli bezstronni historycy teatrów galicyjskich zdumiewać się będą nad faktem, że do prowadzenia scen przez kraj subwencyonowanych dopuszczano często ludzi bez inteligencyi, lub bez znajomości sztuki. Raz z tem zerwać potrzeba, ale jeżeli system dzierżawy dalej miałby się utrzymać, to nie trzeba być pesymistą, sądząc, że „znana z rozwagi i ofiarności reprezentacya gminna" (p. Wdowiszewski byłby dobry na kadzielnika) dałaby się uwieść słodkim słówkom i sprytnej agitacyi i nowa świątynia sztuki dostałaby się w ręce jakiego geszeftsmana lub pisklęcia, mającego trochę pieniędzy i niewiedzącego co robić ze swoją osobą na świecie.

Autor „Szambelanów" ma więc racyę i tylko sprawa finansowa mogłaby stanąć na przeszkodzie objęciu teatru przez gminę. Zestawienie jednak finansowe pana Wdowiszewskiego okazuje bardzo jasno, że strat materyalnych obawiać sie nie należy. Jest tam jedna tylko niesłychanie komiczna pozycya, a mianowicie honorarya autorskie, które pan W. na 1.200 złr. rocznie oblicza. Gdyby inne polskie teatra tyle na honorarya przeznaczały, to same tłómaczenia i wynagrodzenia dla obcych autorów zjadłyby całą sumę, a nasi pisarze dramatyczni musieliby zamiast chleba zjadać sławę na śniadanie, obiad i kolacyę. Niech więc pozwoli pan Wdowiszewski, że pozycyę tę podniesiemy na 4.000 złr. za co powinien być nam wdzięczny choćby ze względu na własną osobę.

Autor trafnie przedstawia obraz przyszłego dyrektora jakim być powinien, ale wymaga od niego bądź co bądź za wiele. Nam by się zdawało, że wystarczy, jeżeli dyrektor będzie umiał ułożyć repertuar ze znawstwem sztuki dramatycznej, jeżeli będzie posiadał zdolności reżyserskie, umiał korzystać z talentów i talencików, jeżeli będzie posiadał zmysł krytyczny w ocenianiu sztuk nowych, jeżeli będzie wreszcie dbał o czystość sceny i czystość języka. Takiego dyrektora znaleść nietrudno pomiędzy dobrymi literatami i ludźmi inteligentnymi, co choć sami nie piszą, ale posiadają zmysł krytyczny i znajomość sztuki. Trudniej jednak byłoby znaleść w jednej osobie takiego dyrektora, o jakim piszemy i zarazem dobrego finansowego administratora. Przedsiębiorcy zwykle mają ten talent administracyjno-finansowy, ale nie posiadają warunków na kierowników sceny. Ztąd jeżeliby dla dobra sztuki przyjęła reprezentacya gminna myśl prowadzenia teatru we własnym zarządzie, to najlogiczniej byłoby rozdzielić te funkcye i mieć osobnego intendenta, a osobnego dyrektora artystycznego. Wówczas posada sekretarza teatru (nie wiadomo właściwie co to ma być) mogłaby zostać wykreśloną z budżetu, przedstawionego przez autora broszury".

NIE-LITERAT.

*) (Łamy naszego pisma stoją otworem dla dalszej w tej sprawie dyskusyi. Przyp. Red.).

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ

(W rocznicę srebrnego z literaturą wesela).

II.

Warunki, towarzyszące powstawaniu i istnieniu dzienników galicyjskich są tak niezwykłe i ciekawe, że dostarczyćby mogły bo-

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

4) CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

— Co nam tu pan będziesz głupstwa gadał!?... To się przecież wszystko kupy nie trzyma!... Za grosz sensu w tem nie ma! To jest takie idyotyczne, że nawet nie warto sobie głowy łamać nad tem, żeby zrozumieć... Gadaj to pan sobie rekrutom, ale nie do mnie!... który mam dwadzieścia siedm lat służby pod bronią!..

I bił się pięścią w piersi w zapale.

Porucznik Rochas był synem czeladnika mularskiego z okolicy Limoges. Sam urodził się w Paryżu, a gardząc rzemiosłem ojca, w ośmnastym roku życia wstąpił do wojska, jako ochotnik. Jako żołnierz, długo nosił tornister, kapralem został w Afryce, sierżantem pod Sewastopolem, porucznikiem po bitwie pod Solferino po piętnastu latach ciężkiej służby i bohaterskich czynów. Szwankował biedaczysko na wykształceniu i tak mało umiał i wiedział, że o stopniu kapitana nawet marzyć nie mógł.

— Taki z pana mądrala, wszystko wiesz, a tego nie wiesz!... Tak, mój Panie!... W bitwie pod Mazagran miałem zaledwie dziewiętnaście lat i było nas stu dwudziestu trzech tylko takich, jak ja, ani jednego więcej, i stawiliśmy czoło przez cztery dni dwunastu tysiącom arabów!... Ha, ha!... mospanie!... Były lata takie, były!... Tam, w Afryce, pod Biskrą, pod Dellys, a później w Wielkiej Kabylii, później w Langhuat, trzeba było być tam panie!... Byłbyś pan widział, jak te czarne brudasy, zmykali jak zające, jakeśmy się tylko pokazali!... A tu potem na wschodzie!... Niech piorun spali!... Nie było wygodnie... Burze panie, takie, że kłaki ze łba wyrywały, zimno wściekłe, ciągłe alarmy, ciągłe podjazdy, ciągłe bitwy... i panie, człowiek wszystko wytrzymał i zawsze górą nasi!... A pod Solferino!?... Co... Możeś pan tam był, że tak o tem gadasz, jakby z nut!?... Tak mój panie!?..! Pod Solferino było ciepło, chociaż tego dnia spadło z nieba tyle wody, ileś pan może w całem życiu nie widział!... Pod Solferino wyczesaliśmy austryaków, panie, co się zmieści!... Trzeba było widzieć, panie, jak zmykali przed naszemi bagnetami, jak kozły wywracali, aby tylko prędzej czmychnąć, jakby im się pod piętami paliło!...

I teraz śmiał się szczerze i wesoło na te wspomnienia!... Cała stara wesołość żołnierza francuskiego dźwięczała w tym tryumfalnym śmiechu!... To przecież wróble na dachach, już wiedzą, że żołnierz francuski z kochankę pod rękę i butelką dobrego wina, gotów przejść świat wzdłuż i wszerz, śpiewając piosnki dwuznaczne!... Jeden kaprał i czterech żołnierzy, to dosyć, żeby całe armie w prochu się tarzały!...

Nagle w głosie jego wściekłość zagrała.

— Co!... Francya pobita!... Te wieprze niemieckie miałyby zwyciężyć kogo!?... Nas!?...

Przyskoczył, schwycił gwałtownie Weissa za wyłogi od tużurka... Całe jego długie, chude i kościste ciało, Don Kichota przypominające, wyrażało pogardę dla nieprzyjaciela, ktokolwiekby tym nieprzyjacielem był, w jakimkolwiek czasie i miejscu.

— Słuchaj mnie pan dobrze!... Jeżeli te szelmy prusaki ośmielą się tu przyjść, odprowadzimy ich do domu, kolanami ich waląc, gdy już się tyłem do nas odwrócą!... Słyszysz pan!... Kolanami aż do Berlina!...

I zrobił gest wyniosły, z dziecięcą pewnością siebie, z tem naiwnem przekona-

gatego niezmiernie materyału temu, ktoby się pokusił o skreślenie np. historyi rozwoju prasy naszej w ostatniem ćwierćleciu. Nie wszystkim jednak wiadomo, z jakiemi trudnościami musi walczyć każde pismo, nie będące organem jakiejś wybitnej partyi politycznej, firmy bankowej lub bogatej. a żądnej wywyższenia się jednostki. Dlatego pozwalamy sobie zlekka kwestyi tej dotknąć. Przeszkody, tamujące normalny rozwój naszego dziennikarstwa podzielić wypada na dwie kategorye: 1o polityczne (tj. stempel i zakaz kolportowania) i 2o że tak powiem kulturalne, objawiające się w niesłychanej apatyi galicyan względem literatury, sztuki, socyologii itd. — krótko powiedziawszy specyficznie galicyjski książko i gazeto-wstręt. Każdy filister u nas choruje na manję krytykowania pism, a sądy jego opierają się na porównawczem zestawieniu dziennika X lub Y. z „N. F. Presse“ lub innym grynderskim organem. „A widzi pan — mówi np. jeden — jakie tam telegramy, jakie świeże informacye polityczne. Prenumeruję tylko moją „Presse“ i ta mi wystarcza“. Takich bezczelnych pyszałków, nie pojmujących znaczenia prasy i jej posłannictwa, takich domorosłych sędziów, nie zdających sobie sprawy z tego, w jaki sposób dziennik się stopniowo rozwija i ulepsza i czemu swój byt zawdzięcza — mamy tysiące. Żądają, by dziennik „dał im codziennie wszystko“, a oni wzamian będą na tyle uprzejmi, że w knajpie, trafice lub cukierni przejrzą łaskawie „co tam w gazetach stoi“. Otóż nasza prasa, dzięki takim protektorom nie stoi, lecz leży.

Daruje czytelnik, że powyższemi słowy poprzedzamy historyę „Kuryera krakowskiego“, który przez dwa lata (1887—1889) wychodził, jako pismo polityczne codzienne, początkowo w małym, następnie w dużym formacie, pod redakcyą Kazim. Bartoszewicza.

Znamy mniej lub więcej organizacye wydawnicze naszych pism, możemy więc bez przesady powiedzieć, że podstawy, na których się wydawnictwo „Kuryera“ opierało, stanowiły „pewnego rodzaju „unikat“. Bartoszewicz, licząc na ludzi, nie sprzyjających walce partyjnej, rozpisał udziały po 10 złr. (sic!), znalazło się też grono protektorów, którym się jednak „protekcya“ po niedługim czasie sprzykrzyła. „Kuryer“ nie był wprawdzie żadnym ideałem dziennika, ale dobrze pojmował swe zadanie odzwierciadlania wszechstronnie chwili bieżącej, a firma redaktorska dzisiejszego jubilata pociągała nawet jego przeciwników „politycznych“, którzy zawsze oddawali hołd jego talentowi i zdolnościom kierowniczym. Prócz podpisanego, który dłużej przy piśmie pracował, do członków redakcyi należeli przez czas bardzo krótki: Jan Grzegorzewski, śp. dr. Bolesław Lutostański, prof. Czesław Pieniążek, tutaj również rozpoczynali na dobre karyerę dziennikarską, dobrze dziś znani i uznani literaci: Antoni Mieszkowski, Adam Nowicki i Władysław Prokesch*). Po za tem kołem ludzi, gorącą z Bartoszewiczem związanych sympatyą, którym jednak okoliczności nie pozwalały dłużej przy „Kuryerze“ pracować — współpracownictwo spoczywało w rękach samego redaktora. Większą część artykułów wstępnych, wszystkie fejletony (kroniki tygodniowe), przeglądy polityczne, a nawet przez czas pewien krytyki teatralne pisywał sam Bartoszewicz, mając do pomocy zmieniających się kolejno akademików, którzy odbywali primicye w dziale reporterskim. Pamiętamy, jak chętnie czytywano wówczas naczelne polityczne artykuły p. Kaźmierza, trzymane w stylu lekkim, niewymuszonym, a pełne jędrnych i zdrowych na świat i ludzi poglądów. Bartoszewicz nie udzielał rad Bismarckowi i hr. Taaffemu, nie przemielał oklepanych frazesów na codzienną strawę — przeciwnie, wystrzegał się zazwyczaj naśladownictwa zawodowych polityków, którym „zgłębianie sytuacyj“ i wysnuwanie retorycznie ładnych, a w gruncie rzeczy płytkich dedukcyj zaciemnia tylko i utrudnia właściwy o rzeczach sąd. Jeden z najznakomitszych pisarzy naszych, mówił mi wówczas po przeczytaniu artykułów Bartoszewicza o Natalii i Milanie i o „Wilhelmie w Petersburgu“, że nabrał chęci do polityki, od chwili, jak ją Bartoszewicz uprawia. —

Praca dziennikarska jest zawsze i wszędzie żmudną i ciężką. W Galicyi, wśród niesprzyjających, wręcz odstręczających warunków, staje się prawdziwem poświęceniem moralnem, a gdy się ma to nieszczęście być wydawcą — zarazem materyalnem. Doskonałym typem takiego dziennikarza — redaktora jest Bartoszewicz.

Pracował usilnie, używał wszelakich sposobów dla podniesienia swego dziennika i zapewnienia mu poczytności, ogół zaś patrzał obojętnie na wysiłki jednostki, darzył je chwilowo złudnym oklaskiem, by później nagradzać przez czas długi zwykłą obojętnością, częstokroć objawianą przez bierną sympatyę. Mimo piętrzących się ustawicznie przeszkód, Bartoszewicz nie tracił nadziei, gorzkniał czasami, narzekał przed nami, a żal jego szczery udzielał się najbliższemu otoczeniu, które starało się osładzać pracę redaktora, wlewać otuchę, podtrzymywać ducha. Mówiliśmy, np. „zobaczy pan, za kilka tygodni zwiększy się znakomicie liczba abonentów. „Kuryer“ pójdzie w górę“. Było to przed zapowiedzianem do Krakowa przybyciem śp. Arcyksięcia Rudolfa. Bartoszewicz sceptycznie przyjmował nasze wywody, uśmiechał się, a z argumentów jego, — jak się później przekonałem — trafnych, tryskał iskrzący się dowcip i zaprawny smutkiem i żółcią humor. „Kuryer“ ukazywał się przez dłuższy czas o godz. 8 rano. Trzeba więc było do późna w nocy siedzieć w drukarni, oddychać tam szkodliwem powietrzem, pisać na ćwiarteczkach ostatnie wiadomości, odczytywać korekty, „robić rewizyę“, a na dobitek o 5 rano uzupełniać rubrykę miejscową i telegramy.

Bartoszewicz czuwał gorliwie nad swem dzieckiem, które z takim trudem wychodziło codziennie z oficyn drukarskich. Przed puszczeniem numeru na maszynę jeszcze raz

*) Mieszkowski i Prokesch byli również poprzednio współpracownikami „Przeglądu literacko-artystycznego“.

---

niem pół idyoty, co nie wie nic i nieboi się nikogo!...

— Tak!... do pioruna!... Tak!... dlatego że tak, a nie inaczej!...

Weiss, oszołomiony prawie, przekonany prędko, wyjąkał, cofając się, że on przecież niczego więcej nie przyjmie. Maurycy zaś, który milczał, nie śmiejąc wmięszać się do rozmowy wobec swego zwierzchnika, nie mógł wytrzymać i także śmiechem wybuchnął. Djabelski ten człowiek, którego rozum zresztą wcale mu nie imponował, zagrzał mu serce. Tak samo też i Jan kiwaniem głową pochwalał każde słowo porucznika.

I on także był pod Solferino w ów dzień, kiedy tyle wody z nieba napadało!... I to się nazywa mówić!... Gdyby wszyscy oficerowie tak mówili, jak porucznik Rochas, toby sobie żołnierze kpili z tego, że niema kociołków, albo pasów flanelowych!

Noc już oddawna zupełnie zapadła, a Rochas jeszcze perorował w ciemnościach, do których się już ich oczy przyzwyczaiły. W całem swojem życiu porucznik przesylabizował tylko jeden tom zwycięztw Napoleona, który mu spadł do tornistra z kramiku jakiegoś kolportera. I nie mógł się uspokoić i cała jego wiedza wytrysnęła od razu w jednym krzyku gwałtownym.

— Austrya rozbita pod Castiglione, pod Marengo, pod Wagram, pod Austerlitz; Prusy rozbite pod Eylau, pod Jenną, pod Lutzen, Hiszpania, Anglia rozbite w puch i w proch wszędzie!... cała ziemia rozbita od góry do dołu, od wschodu do zachodu!... I dziś my mielibyśmy być rozbici!.. Dlaczego!?.. zkąd!?.. jak!?.. Toby chyba ktoś świat cały przemienił na inny!..

Podniósł w górę rękę, jak drzewce sztandaru i jeszcze się większym i dłuższym wydawał.

— Słuchaj pan!.. dziś tam gdzieś była bitwa!.. czekamy wiadomości!.. Otóż chcesz pan tych wiadomości, to ja je panu dam!.. ja!.. chociaż sam nic nie wiem!.. Rozbito prusaków!.. rozbito na miazgę, nie zostawiono im ani łap, ani skrzydeł!.. rozbito na proch, nawet czego zamiatać nie będzie!..

W tej samej jednak chwili pod ciemnem niebem rozległ się jakiś krzyk bolesny. Czy to była skarga ptaka nocnego, czy jakiś głos tajemniczy, zdaleka przez wiatr przypędzony, łzami brzemienny?.. Cały obóz, zatopiony w ciemnościach, zadrżał od tego krzyku i niepokój ogólny, w oczekiwaniu depesz, które jakby na złość nie przybywały, wzmocnił się, rozszerzył i w gorączkę zamienił. W dali, na folwarku, oświetlająca czuwanie sztabu świeca paliła się jakoś dziwnie, płomieniem wysokim, prostym i nieruchomym, jak płomień gromnicy.

Ale wybiła już dziesiąta i Gaude, jakby wyrósł z ziemi czarnej, w którą się po apelu zapadł i pierwszy zatrąbił sygnał na gaszenie ognia. Inni trębacze odpowiedzieli i powoli fanfara ta jakaś smutna i ponura, słabnąc coraz bardziej, zginęła gdzieś w dali...

Weiss, który się tak długo tu zasiedział, uścisnął serdecznie Maurycego w objęciach. Odwagi i ufności!.. Uściska Henrykę od brata, wstąpi pozdrowić wuja Foucharda. W chwili, gdy już miał odchodzić, jakieś się głosy rozlegać poczęły, jakieś gorączkowe biegania i krzyki. Mac Mahon odniósł walne zwycięstwo!.. Następca tronu pruskiego wzięty w niewolę z dwudziestu pięcioma tysiącami ludzi, armia nieprzyjacielska odparta, pobita, zniszczona, działa i bagaże pozostały w ręku zwycięzców!..

— Naturalnie!.. — zawołał spokojnie Rochas głosem swoim tubalnym.

Potem, goniąc za Weissem, który pośpiesznie odchodził w stronę Milhuzy, powtarzał:

— Tak!.. kolanami aż do Berlina!.. Tak panie!.. tak!.. kolanami!..

W kwadrans później inna depesza dono-

przeglądał wszystkie artykuły, usuwał w rozgardyaszu tworzone błędy językowe, stawiał znaki, tu i owdzie czynił dopiski i tak wypieszczonego „Kuryera“ oddawał dopiero do odbicia drukarskiego. Pismo, dzięki temu, iż ukazywało się w godzinach rannych, przyniosło pierwsze szczegółowe wiadomości o przyjeździe śp. Arc. Rudolfa do Krakowa, informowało najwcześniej i najdokładniej o śmierci Zyblikiewicza, o pogrzebie śp. J. I. Kraszewskiego, o wylądowaniu cesarza Wilhelma II. w Petersburgu itd. — słowem, miało ono chwile, które powinny były mu zapewnić choćby byt tylko. Gdzieindziej — pewnieby się tak stało. U nas było, niestety, inaczej. Sprzedano kilkadziesiąt numerów więcej i na tem koniec. Bartoszewicz z humorem opowiada, że pismo jego raz tylko doczekało się niezwykłego „szczęścia“, tj. wyczerpania nakładu, co zgóry przewidując zarządził odbicie podwójnej ilości egzemplarzy. Wstyd doprawdy wyznać, że miało to miejsce wówczas, gdy „Kuryer“ zamieścił numera wylosowanych przedmiotów na wystawie krajowej w Krakowie. Nadzieja wygranej do tego stopnia obałamuciła ogół, że rozkupił dwa nakłady! Może ztąd nauka, aby w tym kierunku prowadzić pismo: podniecać takim haszyszem np. jak loterya? Smutne w każdym razie doświadczenie. O ile pamięć nas nie zawodzi rozprawiano dużo w swoim czasie o artykułach Bartoszewicza na temat wyborów do Rady miejskiej, w których dowodził szkodliwości walki stronnictw tam, gdzie istnieje przedewszystkiem walka o byt ekonomiczny, dalej jędrne głęboko w sedno naszych prawno-politycznych stosunków sięgające uwagi o broszurze St. Tarnowskiego, które wyszły w oddzielnej odbitce.

W r. 1889 wyczerpały się środki wydawcy, a na 10 reńskowe a później większe udziały amatorów nie było. Głównym „amatorem“ był sam wydawca, który „de facto“ większą część udziałów zakupił, gdyż pokrywał przeszło połowę kosztów wydawnictwa. Bartoszewicz starał się, aby pismu zapewnić jakiekolwiek podstawy na jeden rok choćby, wierząc w możliwy jego dalszy, samodzielny rozwój. Zabiegi spełzły na niczem. W r. 1889 „Kuryer“ zamienił się na tygodnik i jako taki został przez nowego właściciela przeistoczony znowu na pismo codzienne pt.: „Kuryer Polski“. Dzieje „Kuryera krakowskiego“ są bolesną ilustracyą galicyjskich stosunków wydawniczych. Naszem zdaniem pouczają one, iż Galicya właściwie pism nie potrzebuje, wystarczają jej bowiem „Pressy i Blatty“. Słowa powyższe rozumiemy w ten sposób, iż w naszym kraju jest niemożliwością prawie utrzymać dziennik wysiłkami jednostki tj. wydawać, jak się to dzieje w Europie nakładem prenumeratorów, wskutek czego mają prawo bytu jedynie organa stronnictw oraz takie, którym poparcia dostarczają kasy bankowe lub prywatne.

Była jednak chwila, w której „Kuryer“ o mało nie stał się organem partyi centrum, którą chciał do życia powołać śp. M. Zyblikiewicz, po ustąpieniu z godności marszałka. Wówczas skupiało się około tego wybitnego męża grono ludzi poważnych, nie sympatyzujących ze skrajnemi prądami. Rokowania też się rozpoczęły i b. marszałek wyznaczył dzień, w którym miał się osobiście z Bartoszewiczem porozumieć. Nieszczęście chciało, że tegoż dnia Zyblikiewicz zachorował niebezpiecznie, a w kilka dni później przeniósł się do wieczności. A więc nadzieje, któremi się Bartoszewicz już rozkoszował, snując piękne projekta o wpływie „Kuryera“ w przyszłości — runęły odrazu na wieść o zgonie b. prezydenta m. Krakowa. I znowu rozpoczął się szereg dni smutnych i pełnych goryczy.

Przystępujemy obecnie do ostatniej fazy działalności Bartoszewicza, której charakterystyką zamkniemy naszą sylwetę.

(Dok. n.). Józef Bornsztein.

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

VIII.

„Piękne dni Aranjuezu już minęły“ powinien rzec do siebie pan Jakób Glikson a byłoby to choć raz trafnie przezeń powiedziane zdanie. Bo istotnie, jeśli dzisiejszy dyrektor oddaje się jeszcze jakim złudzeniom co do prowadzenia nowego teatru, to optymizm jego jest bezgranicznym i porównać by się dał tylko z dobrem rozumieniem o sobie wieszcza Liedera, przyjaciela Juliusza Słowackiego. I nie pomoże chyba panu Gliksonowi ani dyrektor, oświadczający się za entrepryzą, ani pogromca broszury pana Wdowiszewskiego, ani wreszcie szampańska funda. Przyszły kapitalista nie będzie ponoś już wystawał i przechadzał się pod murami gmachu nowego teatru — czego mu się zresztą nie zabrania, gdyż w państwie konstytucyjnem wolność osobista jest szanowaną i zagwarantowaną.

Zresztą dzisiejszy dyrektor nie jest jedynym aspirantem do kierownictwa i dochodów nowej sceny krakowskiej. Jest nim także pewien „dramaturg“ (liczne jego utwory sceniczne przedstawiają wszystkie sceny europejskie; między innymi dramat p. t. „Reformator z dziedzictwa a Cząśnik z powołania“ przełożony został na język kalabryjski) kandyduje również pan Świata, dziedzic na Sarniskach, czwartym jest... psst.... tajemnicy zdradzać mi nie wolno, powiedziałem ją tylko w sekrecie jednej damie, więc i tak się dowiecie. Każdy z tych wymienionych i niewymienionych panów zgodził by się chętnie na tytuł dyrektora, cóż kiedy nadzieje pewnie zawiodą, bo teatr ma wziąć gmina w swój zarząd, o co modlić się szczerze należy. Gdy już mowa o scenie, niech mi wolno będzie złożyć podziękę światłej lwowskiej publiczności za to, że na dwudziestu z rzędu przedstawieniach dramatu drugiego laureata tak szczelnie teatr zapełniła. Jeżeli zważymy, że w dniach tych równocześnie odbywały się

---

siła, że armia musiała opuścić Wörth i cofa się!..

Ach co za noc straszna!.. Rochas, upadający ze znużenia, owinął się w płaszcz i spał na ziemi, nie troszcząc się o schronienie, co mu się nieraz zdarzyło. Maurycy i Jan wsunęli się pod namiot, w którym już Loubet, Pache, Chouteau i Lapoulle spali, głowy na tornistrach oparłszy. W sześciu można się było zmieścić, ale z warunkiem, że się nogi zegnie. Zanim zasnęli, Loubet rozweselał ich wszystkich zgłodniałych, przekonywając Lapoulla, że jutro rano dostaną po kurczaku, lecz sen zmógł wszystko i głód nawet, i teraz spali kamieniem i chrapali... Niech tam sobie prusacy przychodzą!..

Jan przez krótką chwilę leżał bez ruchu, przytulony do Maurycego. Pomimo strasznego znużenia nie mógł jakoś zasnąć. Wszystko to, co im mówił ten pan, w głowie mu kotłowało: Niemcy pod bronią, armia niezliczona, pochłaniająca i czuł doskonale, że i towarzysz jego także nie śpi, myśląc zapewne o tych samych rzeczach. Po chwili Maurycy poruszył się niecierpliwie, odsuwając się od Jana, który zrozumiał, że mu zawadza. Pomiędzy chłopem a wykształconym młodzieńcem niechęć instynktowna, wstręt, z różnic klasowych i wychowawczych wynikający, wytwarzał i fizyczną również odrazę. Chłop cierpiał z tego powodu, wstydu doznawał i smutku jakiegoś wewnętrznego i starał się usuwać ile mógł, aby uniknąć tej wzgardy nieprzyjaznej, którą w tamtym odgadywał. Na zewnątrz noc była zimna i wilgotna, za to pod namiotem od tego nagromadzenia ciał było tak duszno, że Maurycy, rozgorączkowany, nagle jednym skokiem wypadł z namiotu i położył się na ziemi o kilka kroków. Jan smutny, nieszczęśliwy, został w półśnie bolesnym, w którym go zmora dusiła, zmora, złożona z żalu, że nie jest przez tamtych lubianym i z przeczucia tego niezmiernego nieszczęścia, którego galop szalony słyszał zbliżający się ciągle zdala, z ciemności, świat przed oczyma jego zasłaniających.

Całe godziny minąć w ten sposób musiały, cały obóz czarny, nieruchomy wydawał się jak gdyby skamieniały i obezwładniony pod ciężarem olbrzymim coś strasznego, coś, co jeszcze nazwy nie miało... To w morzu tych cieniów coś przebiega, to znów z pod jakiegoś namiotu, którego dojrzeć niepodobna, jakiś się jęk chrapliwy dobywa... To szmery jakieś i dźwięki, których rozpoznać nie można, rżenie konia, szczęk szabli, ucieczka jakiegoś włóczęgi zapóźnionego, wszystkie te odgłosy zwykłe tym razem coś groźnego w sobie miały.

Nagle, tam koło kantyn wielkie światło zabłysło. Linia frontowa obozu żywym blaskiem została oblaną, widać było kozły z broni rzędem stojące, lufy karabinów w równych odstępach błyszczały, a w nich odbijał się jakiś płomień czerwony, podobny kolorem do świeżej krwi. I w tym nagłym pożarze ukazały się warty, wysokie, ponure, smutne. Czy to może nieprzyjaciel, którego wodzowie zapowiadają od dwóch dni i którego aż do Milhuzy przyszli oni szukać z Belfortu?.. Niebawem jednak, wśród wielkiego trzasku i rozpryskiwania iskier, wielki ten płomień nagle zgasł. Była to po prostu ta kupa gałęzi zielonych, tak długo przez Lorenza i Lapoulla podniecana, aby dała ognia, która wytliwszy się przez kilka godzin, z pod spodu spaliła się w jednej chwili z wierzchu, jak ogień ze słomy.

Jan, przerażony tą żywą jasnością, wybiegł teraz szybko z pod namiotu i o mało się nie potknął o Maurycego, który podniósł się na łokciu i patrzył. Już noc na nowo zapadła, jeszcze ciemniejsza niż przedtem i ci dwaj ludzie pozostali tak, leżąc na ziemi nagiej, o kilka kroków jeden od drugiego. Przed nimi, w grubych ciemnościach, nie

rauty i przedstawienia amatorskie i że Lwów liczy tylko 120.000 mieszkańców, a na przedstawieniach amatorskich występowała pani Romanowa P. „nowa gwiazda, artystka-obywatelka, „dama wielkiego świata“, którą by cała Polska postawiła w rzędzie geniuszów, gdyby była aktorką a nie panią Romanową P.“, to przyznać trzeba, że u Lwowian jest kult dla sztuk rodzimych wysoce rozwinięty i do maximum spotęgowany.

A radziłem, a prosiłem, a mówiłem panu Bełcikowskiemu, by zamiast „Wandy“ napisał n. p. „Wandziunię“ operetkę komiczną z tańcami i kupletami, jeśli chce mieć powodzenie. Nie słuchał mnie i teraz żałuje. Mądry Polak po szkodzie. Lecz publiczność krakowska nie chce być lepszą od lwowskiej, bo gdy ta ostatnia systematycznie stroni od sztuk poważnych, krakowska nie lepiej obchodzi się z odczytami. Na drugim odczycie pana Skarzyńskiego trzy damy zasnęły sobie snem sprawiedllwego. Miłe damy! jakże przyjemnie sny mieć musiały. Socyologia i nowe okrywki, osoba prelegenta i Tow. a Paulo, Düring, nierówny podział dóbr i zakupna przedświąteczne wirowały w główkach tych imościanek i kto wie czy po przebudzeniu się damy te nie pomyślały o senniku króla Faraona (wydanie trzecie, poprawione) i lwowskiej n. p. loteryi. Na prelekcyi zaś pana Przesmyckiego a właściwie w ciągu tejże publika gromadnie zaczęła wychodzić. Pan Przesmycki miał mówić do piątej godziny a mówił do szóstej; pan Miriam zapomniał, że dekadentyzm i symbolizm mogą czekać, ploteczki, preferek i kawa nie mogą.

I tak więc mamy już święta najwznioślejsze i najprzyjemniejsze ze wszystkich, bo z wiosną przychodzą i wiosenną zieleń przynoszą. Lecz ludzie — o, przedpotopowi ludzie! w świętach tych widzą tylko dnie nadmiernego zjadania szynek, ciast i bakalii. Obecnie, gdy artykuły te przez rok cały dostępne są nawet mało zamożnym, czyż potrzeba właśnie dzisiaj wyłącznie je konsumować. Sto lat wstecz, gdy człek czterdzieści dni jadł z olejem tylko, należało zrujnowane pozdrowie odpowiednio pokrzepić. Dziś... lecz dajmy pokój temu, by mnie o burzenie tradycyi nie obwiniono.

A więc wolę już kronikę zakończyć życzeniem wesołego... a, co to może przyzwyczajenie! Do widzenia zatem czytelniku w trzecie święto pod kopcem Krakusa, gdzie spotkamy się może przy straganie siekierek i dzwonków glinianych. Jeśli aura dopisze, to uroczystość ta wypadnie wspaniale, zwłaszcza, że co roku rząd jest tam reprezentowany w osobie kilku patroli policyjnych.

Ivrap.

P. S. Dyrektor, który za dni sześćdziesiąt będzie już podobno exdyrektorem obiecał, w razie podarowania mu nowego teatru zaangażować panią Romanową P. do ról czarnych subretek.

Warto podumać o tem.

---

było nic, tylko jedno okno folwarku, ciągle oświetlone i ta świeca, jaśniejąca na jednem miejscu, jakby się przy jakichś zwłokach paliła. Która też to może być godzina?.. Druga, a nawet trzecia?.. A tam sztab widocznie nie śpi. Zdaleka dolatywał głos gniewny generała Bourgain Desfeuilles, wściekłego na tę noc czuwania, poczas której tylko grog i cygara miał do walki przeciw znużeniu. Nowe depesze przybywały, musiało się tam coś popsuć.. Cienie sztafet galopowały, rozszalałe i ledwie dostrzegalne. Słychać było stąpania i tenteny, przekleństwa i nagle jeden jakby przygłuszony krzyk śmierci, po którym przerażająca cisza nastała. Cóż to?... czy to już koniec wszystkiego!?.. Zimny podmuch przebiegł nad obozem, zgnębionym w śnie i niepokoju.

I wtedy Jan i Maurycy, w jednym z cieniów, które się przesuwały, poznali pułkownika de Vineuil. Z nim widocznie szedł major Bouroche, tęgi człowiek o głowie lwiej. Szli i zamieniali między sobą jakieś wyrazy bez związku, takie wyrazy niecałe, niedokończone, szeptane, jakie się czasem słyszy w niespokojnych snach. (C. d. n.)

TRAGEDYA LUDZKOŚCI.

(Emeryka Madacha.)

(Ciąg dalszy).

Scenie drugiej i trzeciej użycza raj swych kulis. Adam i Ewa oddają się radości niczem niezamąconej. Lucyfer, czyhający na swe ofiary, skłania ich podstępnie, iż pomimo wyraźnego zakazu Boga zrywają owoc zakazany. „Wiedzącymi bądźmy jako Bóg“! woła podniecony Adam. „I wiecznie młodymi“ dodaje Ewa. Owoc z drzewa poznania udało im się uszczknąć, ale drogę do drzewa wiecznego życia zagradza im anioł z płomienistym mieczem w ręku. Zostają wypędzeni z raju. W ustroniu na tle wspaniałej natury buduje Adam nędzną lepiankę, Ewa zaś gospodaruje. Czują się szczęśliwymi. Życie ich przestało być wprawdzie jednem pasmem wrażeń rozkosznych, ale to, co mają, należy do nich, jest owocem własnych ich starań, własnych trosk i zabiegów. Własność, rodzina, oto dwa nowe dla nich pojęcia nieznane przedtem, obecnie zaś stanowiące podporę ich szczęścia, cenną przyprawę życia. W te dwa właśnie najdrażliwsze dla nich punkta godzi zatrutą strzałą zjawiający się znowu pośród nich Lucyfer.

Familia, własność! Co za wielkie słowa!
Sprężyną świata będą one kiedyś,
Zarówno szczęścia, jak niedoli źródłem....
I wzrastać będą wciąż pojęcia nowe
Aż wzrosną kiedyś w własność i ojczyznę,
By najwznioślejsze stworzyć światu dzieła,
A w końcu — pożreć własny płód ohydnie.

Adam przypomina mu obietnicę.

....Tyś przyrzekł mi świadomość;
Wszak przeto popęd uciech przytłumiłem,
By krwawą walką zdobyć sobie wielkość.
I cóż zdobyłem?....

Sam jednak spostrzega, że zdobył wiele.

Com zyskał,
Jest moje. Dumą moją to i siłą.

LUCYFER (do siebie)
Stwierdzisz, pyszałku, siłę swoją szczerzej,
Wówczas, gdy piorun w serce twe uderzy.

EWA.
We mnie zaś duma przeto tylko gości,
Żem upatrzona na matkę ludzkości.

LUCYFER (na stronie).
Dziwny ideał świeci tej kobiecie,
Krzewić płód winy: ból i nędzę — w świecie.

Burzycielowi wszelkiego szczęścia nie podoba się zadowolenie pierwszych ludzi. Budzi on znowu powątpiewanie, które spało snem bezwiednym na dnie tych dusz, upojonych samoistnością. „Gdzie dojdę, pyta Adam

Z mem „ja“ wśród wiru tego różnych bytów?
Co będzie z ciałem mem, któremum ufał,
Narzędzie widząc w niem niezłomne zgoła
Mych wszystkich wielkich pragnień i dążności?“

Lucyfer, nie rozwiązując zagadki, podrażnia go tem silniej, radząc, aby był cierpliwym. „Tak, woła rozgoryczony Adam:

Ty cierpliwością umiesz mnie traktować,
Bo wszakże wieczność twoim jest udziałem.
Lecz ja nie tknąłem, jak wiesz, drzewa życia,
Mnie wzywa krótki byt mój do pośpiechu.

Lucyfer odpowiada słowami, których nie powstydziłby się dzisiejszy materyalizm:

Co żyje, wszystko jeden ma czas trwania
Stuletnie dęby jak i jednodniówka:
Świadomość, radość, miłość — śmierć nareszcie,
Gdy koniec dziełu i gdy syte żądze.
Nie czas to spieszy, lecz my się zmieniamy;
Dzień i stulecie trwają równie długo.
Pociesz się tedy: i ty cel swój spełnisz,
Nie myśl jednakże, aby ludzka istność
Wepchniętą była w one ciało z prochu.
Spojrzyj na mrówki, popatrz na pszczół roje;
Tysiące spieszą tu i tam bezmyślnie,
Działają stępo, błądzą i padają.
Żyje jednakże, działa jednolicie
Jako jednostka nieśmiertelna rodzaj,
I ona pewnie spełni swe zadanie....
Gdy wszystko zniknie i wszystko ustanie.
Ciało twe w proch się rozsypie, to prawda,
Lecz zmartwychwstanie w tysiącach postaci
I nic nie będziesz poczynał na nowo.
Grzech twój opłacą pokutą twe dzieci,
Bo twa istota dalej w nich żyć będzie;
To, co przeszedłeś, czułeś, co zbadałeś,
Przez lat miliony będzie twą własnością.

W tyradzie tej stoi Madach na wysokości dzisiejszych poglądów; czytając ją, wierzyć się prawie nie chce, że np. śmiałe pojęcie wieczności, jakie w powyższym ustępie spotykamy, wyszło z pod pióra węgierskiego szlachcica przed laty trzydziestu!

Rzecz naturalna jednak, iż wszystko to bynajmniej nie uspakaja Adama, jak i dzisiaj nikogo nie uspokoi. To tylko wniosek z premis przeszłości dobyty — on zaś pragnie przyszłość ujrzeć, pragnie ją ujrzeć, aby się dowiedzieć, po co walczy, dla czego cierpi?

Bo wówczas na snów twoich niebie wzniecę
Światło, co skłoni cię bieg tych kolei
Za ułudę marną mieć: Promień nadziei.

Na tem kończy się prolog....

* * *

Tragedya ludzkości już przysposobiona. Wśród jednej z najdawniejszych cywilizacyj, w prastarem państwie egipskiem wypływa Adam znowu na widownię. Jest faraonem, władcą potężnym, który skinieniem tysiące ludzi pozbawia życia, słowem — najgwałtowniejszych dokonuje przewrotów. Wszystko mu ulega; jedno tylko nie chce ugiąć karku przed faraonem — szczęście. To bowiem, co dla innych wydaje się szczytem szczęścia: władza, skarby, nieograniczone używanie uciech — spowszedniało dlań i straciło wszelki urok. Nęci go tylko jeszcze

sława. Więc buduje piramidę olbrzymią, jakiej nikt dotąd nie zbudował: piramidę, któraby urągała najgwałtowniejszym orkanom, nawet trzęsieniu ziemi; któraby w najodleglejszej przyszłości dała świadectwo zwycięstwa człowieka nad wszechmocą natury.

Lucyfer stoi przy nim jako doradzca i słuchając tych rojeń, stara się je zgłuszyć pytaniem, czy rzeczywiście nadzieja sławy szczęściem go przejmuje i czy nie sądzi, iż sława jest także czczą igraszką. Zwątpienie opanowuje Adama na nowo, opanowuje coraz bardziej, aż nakoniec ogarnia go całkowicie, przy pomocy uroku Ewy, która jako żona robotnika zabitego przy budowie piramidy, blaskiem swej urody odwraca myśl faraona od szczytnych rojeń o sławie. Lucyfer tryumfuje. Jedna chwila, jeden wybuch uczucia, łamie pierwotne zamiary Adama-władzcy. Ewa otwiera jego oczy na niedolę ludu; najrozmaitsze sprzeczne uczucia budzą się w sercu faraona. Ugniata go dyadem monarszy. W uniesieniu woła:

Niech padnę ja, jednostka,
Byleby ogół istniał, wzrastał silnie,
Ten ogół, co dla dobra wszystkich członków
Z jednostek splata się w potężną całość.

Lucyfer wie dobrze, iż chęć swą przypłaci Adam kiedyś aż nazbyt drogo. Bez wahania spełnia więc jego życzenie. Każdy nowy zawód, nowe rozczarowanie jest przecie tryumfem tego ducha niewiary, a on tryumfów tak łaknie!

Z krainy piramid i biczowanych na śmierć niewolników, wprowadza on Adama na klasyczną ziemię Hellady i wyznacza mu w odmętach rozbujałej demagogii rolę Milcyadesa.

Znajdujemy się tedy w Atenach. Na ołtarzu świątyni składa zwycięzki tryumfator ofiary bogom. Towarzyszy mu Ewa, jako Lucya i syn jej Kimon. Na placu gromadzą się zwolna coraz liczniejsze tłumy pospólstwa. Demagogowie rozniecili już w niem poziome instynkta i oto ten sam lud, który oswobodzenie od Persów zawdzięczał Milcyadesowi, żąda teraz śmierci swego oswobodziciela. Wyrok zostaje spełniony, a katem Adama jest Lucyfer. W ostatniej jednak chwili modlitwa Lucyi-Ewy przywołuje bóstwa; zjawia się geniusz śmierci, darząc Adama spokojnym zgonem, Lucyfera zaś przykrym zawodem. Ta odważna śmierć pod toporem nie leżała w jego intencyach. Więc woła:

Przekleństwo wieczne owej ułud sile,
Co najpiękniejszą zatruła mi chwilę.

(C. d. n.) St. Rossowski.

DRAMAT NARODOWY NA SCENIE Hr. SKARBKA.

(Korespond. „Myśli").

Lwów, 10 kwietnia.

Przekwitła szansonistka, nie mogąca się już utrzymać w Paryżu, zjeżdża do Lwowa i wyznacza ceny droższe jak na przedstawienia Modrzejewskiej — a teatr zapełnia się po brzegi, rozbrzmiewając burzą oklasków na cześć diwy tinglowej — Judic.

Inaczej wygląda ten sam przybytek sztuki narodowej w dni kilkanaście, gdy dyrekcya, nie szczędząc trudu i niezwykłego jak na nasze stosunki nakładu — obdarza publiczność dramatem o podkładzie patryotycznym, nagrodzonym na konkursie krajowym. Pustki przerażające na pierwszem przedstawieniu — pustki na drugiem, trzeciem i czwartem. Nakład kilkutysięczny na dekoracye i kostiumy prawdziwie stylowe idzie na marne.

Nie do uwierzenia — a jednak prawdziwe! Na podobną logikę zdobyć się mogą tylko we Lwowie. Tu gdzie najmarniejsza farsa, gdzie najlichsza operetka jak np. Gondelierzy przynoszą świetny rezultat kasowy, padały już niejednokrotnie arcydzieła naszej literatury. Lwów ma swoją tradycyę pod tym względem. Dość przypomnieć, że ani Horsztyński Słowackiego ani Kiejstut Asnyka nie mogły się w repertuarze utrzymać. Sztuki wyższej wartości liczyć mogą na poparcie tylko wówczas — jeżeli w nich wystąpi jakaś pierwszorzędna gwiazda sceniczna, goszcząca chwilowo we Lwowie, której nie widzieć wydałoby się ubliżeniem dla tutejszego urzędniczo-kupieckiego higle-life'u.

Zwątpić by też należało o naszej przyszłości narodowej, gdyby wypadło stawiać o niej horoskopy z przejawów życia umysłowego i społecznego w grodzie nadpełtwiańskim.

Czyżby istotnie tak mało było inteligencyi we Lwowie, żeby raut równoczesny uniemożliwił zapełnienie amfiteatru?

Jeden jeszcze szczegół zasługuje na podniesienie, a mianowicie, iż podczas gdy obrady sejmowe, musiały być przerwane, z powodu premiery opery Mascagniego, to na przedstawieniu sztuki, nagrodzonej konkursem krajowym — świecili posłowie sejmowi stałą nieobecnością.

A szkoda że nie przybyli, bo i sztuka godna była wysłuchania i wystawienie jej świadczyło o pietyzmie dyrekcyi dla pięknego tego utworu.

Już to wogóle przyznać należy p. Bełcikowskiemu, że w dziedzinie dramatu historycznego — mało ma u nas godnych siebie rywali. Utwor jego ostatni, pt.: „U kolebki narodu" porywa zarówno ciepłem patryotycznego uczucia, jak i podniosłej poezyi. Napisany wierszem białym — grzeszy co prawda czasami zbyt powolnym tokiem akcyi — niemniej jednak posiada to, co jest koniecznem na scenie tj. nerw dramatyczny. Zawiązkiem jego jest kolizya uczuć, jaka się wytwarza u bohaterskiej Wandy pod wpływem wypadków. Gorąca miłość ojczyzny, poparta przeświadczeniem o obowiązkach własnych, staje u niej do walki z wyłaniającą się niespodzianie skłonnością dla niemieckiego księcia Rytygiera. Dramatyczność sytuacyi potęguje umiejętnie prowadzona intryga. Uwydatnia ona tem plastyczniej niezłomny i szczytny charakter królowej.

Wyposażona w rysy czysto kobiece, umie Wanda jednak panować nietylko nad drugimi, ale i nad sobą samą. Cierpi, budząc szczere współczucie, wychodzi jednak z tej wewnętrznej walki zwycięsko. Mając wyższe dobro na oku, bo pomyślność narodu, nie daje się skusić ponętnej ułudzie indywidualnego szczęścia, że zaś mniema, iż śmierć jej przyniesie pokój narodowi, którego życie dać niepotrafiło, nie waha się i przed tą najwyższą ofiarą.

Jakoż nawet wróg jej śmiertelny zawołać musi w końcu, że cnota w tej kobiecie iście nadludzką była!

Psychologicznie zrozumiały i zupełnie dobrze pojęty charakter Wandy — rzucony jest na tło, odpowiadające naszym pojęciom historycznym.

Korzystając z kronikarskich zapisek, nadał też autor mistycznej i mglistej dotychczas legendzie wyraziste kontury dramatycznej akcyi. Całość ma zakrój klasyczny, mimo zabarwienia romantycznego i pociąga przedewszystkiem słoneczną jakąś harmonią i spokojem. Powagę nastroju podnosi niemało język jędrny, obfitujący w wspaniałe i poetyczne zwroty. Grupowanie scen obliczone jest niejednokrotnie na efekta dekoracyjne, niektóre zaś epizody świadczą o wybitnym wpływie Szyllerowskiej: „Dziewicy Orleańskiej".

Przejrzystość kompozycyi mąci czasami nadmiar szczegółów i skłonność autora do przydługich tyrad. Hamują one od czasu do czasu swym zakrojem powieściowym, prawidłowym zresztą, rozwój akcyi. Całość zyskałaby na sile przez umiejętne skreślenie poszczególnych dyalogów, zawsze pięknych wzniosłą myślą i polotem, ale nużących niekiedy swą rozwlekłością.

W szczegółowy rozbiór sztuki wdawać się nie chcemy, by nie uprzedzać sądu inteligentnej publiczności krakowskiej. Przypuszczamy bowiem, że dyrekcya teatru tamtejszego zmuszoną zostanie ostatecznie głosem opinii publicznej do wystawienia utworu nagrodzonego na konkursie krajowym.

Przechodząc do samego wykonania sztuki, podnieść musimy inteligentną i stylową grę p. Wolańskiego w roli Rytygiera. Uzdolniony artysta potrafił wykrzesić z legędarnej postaci niemieckiego księcia iskrę szczerej poezyi i zapału, jakim zabarwił tego romantycznego rycerza autor dramatu.

Na zakończenie niniejszego sprawozdania nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż „U kolebki narodu" — jest dopiero drugim utworem p. Bełcikowskiego, który się doczekał wystawienia na tutejszej scenie. Nie grano tu dotychczas ani dramatu uwieńczonego w r. 1875 na konkursie krakowskim p. t. „Mieczysław II", ani też innych sztuk tegoż autora, jak np. „Adama Tarłę," „Hunyadego", „Kmitę i Bondarywnę" itd.

Smutny to istotnie objaw, — iż sztuki oryginalne czekają nieraz latami na ujrzenie światła kinkietów w dwóch jedynych subwencyonowanych teatrach polskich — t. j. we Lwowie i Krakowie. Wnioski, dające się ztąd wyprowadzić — nie potrzebują chyba komentarzy. Jks.

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

(Ciąg dalszy.)

V.

Po północy. Ulice ubielone spadłym świeżo śniegiem, który na dachach domów od światła księżycowego zabarwia się zielonawo i w górze jasno i gwiaździsto; na ziemi przedmioty rzucają ostre, wyraźne cienie. Od czasu do czasu pomykają raźno sanki i przerywają ciszę matowym, przyśpieszonym brzękiem dzwonków, a końskie łby nikną w kłębach białawej pary, które wyziewają ich chrapy na mrozie.

Po kilku minutach ulica ożywia się. Od Brackiej ku Marszałkowskiej posuwa się Hożą gromadka mężczyzn, wiodących głośną i wesołą rozmowę. Przy rogu Kruczej stają, słychać śmiechy i tłuste dowcipki, poczem następują pożegnania kilku skręca w bok, a

Wacław z Ludwikiem, wolnym krokiem spacerują po Hożej w dalszym ciągu. Obadwaj są w szapoklakach, a nadto rozpięte palto Wacława ukazuje frak i wielki biały gors koszuli.

Lutek. Im to dobrze, bo mogą sobie spać jutro do dwunastej, ale ja muszę już o dziewiątej być w biurze. Co tam, bierz ich licho, jak nawet raz spóźnię, dziury w niebie nie będzie!...

Wacław. Rozumie się. Co do mnie, to nie mam żadnych skrupułów. Moja żona pewnie cały dzień z łóżka nie wyjdzie, tyle dziś miała pracy przy tym obiedzie; więc i ja nie myślę zrywać się tak rychło.

Lutek. Ale wiesz co Wacku, wysadziliście się niepomału. Jedzenie mięsne i wina niezgorsze, szczególnie ten maślacz, którym piliśmy nasze kawalerskie, okropnie mi smakował. Gdyby tak baby weszły były do nas i widziały co się dzieje, strasznieby pomstowały.

Wacław. A my byśmy ich gniew bardzo do serca brali, nieprawda, ha, ha!

Lutek. Ha. ha, ha! Masz racyę.... Ale bądź-co-bądź i one sobie pozwoliły trochę, osobliwie ta twoja przyjaciółka, co to się podpisuje „Szarotka“ ma wcale niezłe zacięcie. Wyobrażam sobie, jak teraz to biedactwo musi spać.... Muszę ci przyznać, że to całkiem niczego kobieta, warta grzechu.... No, nie wytrzymuje rozumie się porównania z panną, to jest właściwie teraz już panią Anielą.... Niech ją, jak dyablo ponętnie wyglądała, panu Pawłowi dostał się łakomy kąsek; czy tylko on się na nim poznał?...

Wacław. Co, już tak prędko?... Cierpliwości, pozna się prędzej czy później; nie dziś to jutro.

Lutek. Ech, żartujesz chyba; ja ci powiadam, że to facet jurny, on swego nie daruje; można mu to było z oczów przez cały wieczór czytać. Gotówbym iść z tobą o zakład, że... że już w obecnej chwili *consumatum est*....

Wacław. Człowieku, co ty pleciesz, przecież to panna dobrze wychowana; tam się nie obejdzie bez długich ceregieli, bez odpowiedniej introdukcyi....

Lutek (podskakując). Ja właśnie o tej „introdukcyi“ mówię (przystaje trochę). Nie bądźże naiwnym, dziewczyna dojrzała, *jam matura viro* i rozumna, nie zechce przecie udawać niewiniątka, trzymanego do samego ślubu w klasztorze.

Wacław. Cynik jesteś i koniec. Zresztą, o cóż nam chodzi, mnie to ostatecznie ani ziębi ani grzeje. Niech się jej mąż kłopocze....

Lutek. No, ale przyznaj, tak z ręką na sercu, że mu w tej chwili zazdrościsz? Nie darmo ludzie gadali onego czasu, że do niej słodkie oczy robisz.

Wacław. No i cóż w tem dziwnego, panna wykształcona, ładna, świetnie zbudowana; ja się z tem wcale nie kryłem, a przytem gdy się mieszka pod jednym dachem.... o ścianę... mój drogi, kto inny na mojem miejscu nie byłby lepszym, owszem, mnie się zdaje, że właśnie w wypadku przeciwnym, gdybym wobec niej zostawał niewzruszonym głazem, zasługiwałbym na istne *testimonium paupertatis!*

Lutek. Aaa, to inna sprawa, ja sam pierwszybym ci ręki nie podał, ha, ha, ha!

Wacław (przed siebie z uśmiechem). Wyborny jest!... No, ale to już dawno minęło... węgiel się wypalił, albo raczej zgasł na widok innego płomienia bardziej uprawnionego.

Lutek. No, to masz szczęśliwe usposobienie, jabym tak nie potrafił patrzyć obojętnie, jak pierwszy lepszy filister sprząta mi z przed nosa cel moich zapałów i westchnień.

(Dochodzą do końca ulicy).

Wacław. Przejdźmy się jeszcze. Noc cudowna i tak przecie spać tak prędko nie położysz się...

Lutek (zawracając poprostu)... i przynajmniej z tydzień nie sypiałbym w domu.

Wacław. Tylko cobyś robił?

Lutek. Nie złe pytanie! Birbantowałbym ze wszystkiemi dziewczętami, żeby zalać robaka. O! to jedyne lekarstwo na wszelkie rany serca — oraz bliższych i dalszych jego okolic; wierzaj mi... Aha! patrz, oni tu, zdaje się mieszkają, hm, pyszna kamienica...

Wacław (patrząc na przeciwległą w cieniu pogrążoną stronę ulicy — po krótkiej zadumie) — Taak... Trzeba ci wiedzieć, że on ma wcale niezłą praktykę... Zajmują całą lewą połowę pierwszego piętra (wskazuje ręką).

Lutek. Jak to, te wszystkie sześć okien?

Wacław. Właśnie — już licząc razem z balkonem.

Lutek. Phi, phi! A to pewnie sypialnia, z tem niebieskawem światłem (nagle z śmiechem odwraca się ku Wacławowi i bierze go w podbródek). Ehe, chciałbyś tam być, co?

Wacław (poważnie). No i widzisz, żeś słuszności nie miał i całkiem niesprawiedliwie posądził ich o gwałtowny pośpiech....

Lutek (szybko). Zkądże ta pewność?

Wacław. Czyż nie widzisz, że i w saloniku widno, a i jak jeszcze.

Lutek. To niczego nie dowodzi... (wybuchając śmiechem). Poprostu w wielkim ferworze miłości zapomnieli zgasić lampę.

Wacław (nadsłuchuje chciwie). Ale daję ci słowo, że słyszę wyraźnie grę na fortepianie! (Schodzi z trotuaru na środek ulicy i nadsłuchuje). Ale tak! Daję ci słowo. To Aniela gra swą ulubioną barcarolę Rubinsteina!

Lutek (podchodzi zwolna do tego samego miejsca). Nie ma co mówić, artystycznie biorą się do rzeczy.... To prawdziwa noc ślubna *fin de siècle!*

Wacław (wraca na chodnik i wydobytą z kieszeni fraka chustką ociera pot z czoła, potem mówi jakby do siebie). Czy ten bałwan rozumie przynajmniej, co w sobie zawiera ta Barcarola? (wzdycha).

Lutek. No, ale chodźmy; nie ma idei stać tak na mrozie. Tobie uważam za gorąco... mógłbyś też zapiąć się. (Idą powoli. Chwila milczenia. Niebawem Lutek przyśpiesza kroku.)

Wacław. Jabym tak podjął się spacerować do samego rana. Nasze libacye były widocznie za obfite, bo mię zaczyna głowa boleć. (Ogląda się na bok, nieco za siebie i patrzy w okna Anieli). Tam wciąż widno... (Chwyta nagle Lutka za ramię) Lutku! Lutku!

Lutek. Co takiego, co się stało? Drżysz, jakbyś miał febrę, zapnijże u licha palto!... Co ci jest? Fuszer z ciebie, nie umiesz widać pić i teraz dostaniesz migreny. A niechże cię, jesteś blady, jakbyś miał zemdleć. No, weź mię pod rękę i chodźmy prędzej, to ci szum przejdzie. (Idą żwawo, dochodzą do placu Trzech krzyży i wracają). Ale ty drżysz coraz więcej! Co! Do stu dyabłów? Z tobą nie ma co robić... Odprowadzę cię do domu i do łóżka położę....

Wacław (drżącym silnie głosem, któremu usiłuje nadać brzmienie spokojne). Kpisz chyba... nic mi nie jest! (Podnosi kołnierz). Ani myślę wracać teraz.... Ale ty się nie krępuj.. idź do domu, ja sobie pochodzę trochę.

Lutek. Aha! Zgadłeś, jeszcze klapniesz gdzie na bruk i prześpisz się *sub Jove*, a jutro „Kuryerki“ będą pisać o tobie w rubryce „wypadków“.

Wacław. To jak chcesz, ale ja do domu nie pójdę, (stuka laską we flisy chodnika). Wiesz, że umiem być upartym i nie pozwolę ci się traktować jak babę! (Dok. nast.)

DEKADENT-MALARZ

(DIEFENBACH).

(Korespond. „Myśli“).

Wiedeń, 25 marca.

(Dokończenie).

Wizye więc, wizye i wizye! Sen co „zalewa“, jak się artysta wyraża, obrazy wyśnione, zalewa niestety także i obrazy jego malowane. Postacie giną w mgłach, często rysów nie dostrzeżesz. Koloryt jest wskutek tego nieraz manierowany. Ale tylko nieraz. Bo Diefenbach jest prawdziwym mistrzem w uchwyceniu barw cichej, samotnej przyrody leśnej, wieczornego nieba nad polami, i bujnej, roślinności drzew i krzewów, paproci i dzwonków liliowych.

Trzy wielkie, największe obrazy: „Wizya“, „Wizya dziecka“ i „Pożegnanie się z Hölbriglsgreutem“ jeden i ten sam temat mają za przedmiot. W jednym znużony pielgrzym widzi Chrystusa na krzyżu, powstającego przed nim z mgły; w drugim dziecko, upominane przez ojca, aby pamiętało o Zbawicielu, ma wizyą Chrystusa na krzyżu, wstającego z szuwarów przed oczyma rozmarzonej jego duszy. Zorza wieczorna oblewa cudowne tło przyrody tego obrazu; niestety twarz ojca odwrócona a w dziecku więcej widać ciekawości, niż zachwytu. Bez objaśnień w katalogu niktby nie wiedział, że to wizya, bo na to nie wystarczy przecież obraz Chrystusa mglisto wymalować! W trzecim obrazie Diefenbach i Helios odchodzą z Hölbriglsgreut, smutni odwracają się raz jeszcze do lasu, i wzrok ich spostrzega — nie już senny, ale rzeczywisty — krucyfiks na brzegu gęstwiny. Nie jest to wizya, ale trudno ją od wizyi poprzedniej odróżnić.

Diefenbach wszędzie prawie siebie i swoje dzieci maluje. Nie jest to słabość kompozycyi, ale tylko skutek silnego subjektywizmu malarza i głębokiej jego miłości dla rodziny. Malował matkę swą z pamięci i obrazu, jak sam pisze -- nie dokończył, bojąc się go zepsuć w ostatnich czasach, pełnych trosk i smutku.

Jest to bardzo piękny portret i dowodzi, jak wielkim jest talent malarza i ile mógłby on zrobić, gdyby przezorniejszym był w wyborze przedmiotów. Malował też siebie wielekroć, sceny z życia dziecięcego w domu rodziców i ojca swego. Jego szkice węglem, (portrety) i portrety olejne stanowią kontrast z wielu postaciami większych kompozycyj. W portretach: siła rysunku, wyrazistość, życie pełne; w kompozycyach: mgliste, zamazywane rysy, nieudolność oddania charakteru a nawet niemiłe uchybienia perspektywie.

Gdzie artysta siebie lub dzieci swe maluje, tam i w większych kompozycyach błędy te nie występują tak rażąco! Naprzykład w obrazie „Cisza wieczorna w pracowni Diefenbacha“. Postacie Diefenbacha i jego ucznia dobrze wykończone, (choć Diefenbacha nogi okropnie karłowato wyszły!), koloryt piękny, ale pracownia zawalona tylu przedmiotami, obrazami na ścianie, kolumną z jabłkiem, symbolem wegetaryanizmu, egzotycznemi roślinami a wszystko to wymalowane w tak wielkich rozmiarach, że widzowi duszno się robi, bo czuje, że w tej pracowni nie może odetchnąć pełniejszą piersią.

Najstarsze są allegorye Diefenbacha. Wymalował dwoje kochanków na wysokiej skale, patrzących z góry na ziemię, zupełnie nagich i obraz ten nazwał „Blisko nieba, niewinna miłość“. Przyznam się, że nie zrozumiałem ani tej niewinności, ani bliskości. Jest to dopiero szkic.

Na innem malowidle: „Czar ognika błędnego“ przed okiem wędrowca staje królowa bagna, zamazana, sinawa nimfa z płomykiem nad głową. Cudowna, jak prawie wszędzie przyroda, ale ta nimfa — nimfa z bagna! Szkic, który malarz do tej nimfy zrobił i który można opodal widzieć, był niepospolitej piękności i przypomina najpiękniejsze kreacye Makarta. Ale w kompozycyi malarz zamazał ją — wizyą! Ta nimfa rozkoszna ma być zapewne uosobieniem żądzy. Tem smutniej, jeśli tak mgławą jest!

Prawdziwą perłą zbioru Diefenbachowskiego jest głowa Chrystusa w męczeńskiej koronie. Jest to dzieło, godne stanąć obok pierwszorzędnych obrazów tej kategoryi — Gabriela Maxa. Dr. H. M.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

*** Z odczytów. *(f).* W sezonie ubiegłym mieliśmy, obok wielu tak zw. popularnych odczytów, na których czele należy bezwątpienia postawić odczyt p. prof. Kleczyńskiego: „O emigracyi“ — dwie prelekcye dla szerszej publiczności: pp. dra W. Skarzyńskiego: „O kwestyi socyalnej“ i Zenona Przesmyckiego (Miriama): „O dekadentyzmie i symbolizmie w poezyi francuskiej.“

P. Skarzyński, autor monografii o Adamie Shmit'cie i większej pracy o własności ziemskiej w Poznańskiem mówił o tak żywotnej kwestyi, jaką jest stosunek pracy do kapitału przed dość licznem audytoryum, wśród którego nasze panie siedziały jak na niemieckiem kazaniu. Nie świadczy to bynajmniej o „głębokości“ prelekcyi, jeno o małem, a raczej żadnem przygotowaniu umysłów niewieścich u nas do słuchania o rzeczach poważnych, opartych na naukowych podstawach. P. S. rozwinął szerszy pogląd na istotę pracy, jako głównego czynnika w kształtowaniu się stosunków społecznych. Wystąpił przeciw urzędowym ekonomistom (Ricardo i Malthus), którzy teoryami swemi podniecają tylko niezadowolenie klas pracujących, położył nacisk na poglądy Lista, Carey'a i Dühringa, — tłómacząc, że pojęcie pracy, jako podstawy wszelkich wartości ekonomicznych należy rozszerzyć do pracy minionej, dotychczasowej, wreszcie uprzytomnił dysputy zjazdu socyalistów w Erfurcie i parlamentu francuskiego nad sądami rozjemczemi.

P. Przesmycki wybrał sobie temat niefortunny, bo „dekadentyzm i symbolizm w poezyi francuskiej“. Nasza publiczność zbyt mało interesuje się sprawami ojczystej literatury, rozwoju rodzimej poezyi, aby mogła śledzić bacznie to, co się dzieje w sferze literackiej zagranicą. Czytywanie francuskich romansów dowodzi tylko zamiłowania do tego rodzaju lektury, a nie znawstwa prawdziwej sztuki. P. Przesmycki za szczegółowo mówił o dekadentach (Mallarmé, Verlaine i w. i.) i o symbolistach-mistykach a nie pokusił się o należyte zszeregowanie tych najnowszych objawów muzy francuskiej w pewien całokształt, o głębsze wyjaśnienie, jakie przyczyny wywołały ruch zblazowanych dekadentów we Francyi. Wogóle zarzucamy p. P. zbytnią rozwlekłość i analizę; syntetyczny charakter prelekcyi przyczyniłby się niewątpliwie do jej pogłębienia i nie znużyłby słuchaczy, którzy w niewłaściwy sposób wymykali się z sali przed końcem odczytu.

P. Przesmycki posiada język gładki, barwny, szkoda tylko, że mówi w tonie zbyt autokratycznym. Połowa dochodu z obu odczytów Miriama zwiększyła fundusz budowy domu akademickiego.

*** Z Teatru.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni teatr krakowski wznowił: „Starych kawalerów“ W. Sardou na benefis p. St. Dzirytówej. Opinię moją o tej młodej artystce niejednokrotnie już miałem sposobność wyrażać w sprawozdaniach teatralnych. Daleki jestem od przesadnych pochwał i czczego komplimentowania, gdyż wiem, że sądy, wypowiadane w takiej formie, acz chwilowo przyjemnie podniecają wrażliwość artystek, nie wpływają ani na stopniowy rozwój ich talentów, ani też nie usposabiają dodatnio względem nich publiczności. Daruje mi czytelnik, że odstąpię nieco od właściwego przedmi tu, ale czynię to tym razem umyślnie, jako interpelowany ustnie i pisemnie.

W p. Dzirytównie cenię wysoko wrodzony talent, popierany usilną pracą około usunięcia braków, tak naturalnych u osób, które zaledwie rok poświęcają się pracy scenicznej. Wierzę, że przy umiejętnem kierownictwie i wytrwałości niedostatki te dadzą się z łatwością wyrównać, że się u p. D. skala głosowa rozwinie, a wówczas stanie się ona niewątpliwie bardzo pożądanym nabytkiem dla każdej sceny. Nietylko Kraków, ale widocznie i Warszawa interesuje się postępami młodej aktorki, skoro redakcya tak poczytnego pisma, jak „Przegląd Tygodniowy“ zażądała odemnie sylwetki p. Dziryt. Profil p. D. skreśliłem przedmiotowo, ciesząc się bezsprzecznie dobrym objawem, że Kraków wytwarza talenty, których rozwój nie obojętny jest także stolicy. Była to zachęta do dalszej pracy, a pochwała dotychczasowej, spokojna i objektywna. Tyle pro domo sua.

Antoninę w „Starych kawalerach“ odegrała p. Dzirytówna bardzo wdzięcznie. Brakło jej siły dramatycznej w scenie fortepianowej, ale z góry już byliśmy przekonani, że artystka nie zdobędzie się tutaj na tyle ekspresyi, ile jej by mieć powinna, dla należytego odtworzenia tak świetnie i subtelnie pomyślanej przez autora postaci. Zresztą talent p. Dziryt nadaje się, jak na teraz, przeważnie do ról liryczno-naiwnych. — Z artystów, występujących w tej sztuce, zasługują na rzetelne wyszczególnienie: pp. Siennicka i Parysotówna, oraz pp.: Rygier. Sobiesław i Siemaszko. Całość wypaśćby mogła o wiele składniej i równiej.

Ubiegłej soboty ujrzeliśmy na naszej scenie poetyczny obrazek Coppé'ego pt.: „Ojcze nasz“ (Le Pater) w tłóm. ks. Barabasza. Rzecz to osnuta na tle krwawych wypadków paryskich r. 1871. Autor wyprowadza na widownię młode dziewczę, które zatraca chwilowo wiarę i, odrzucając rezygnacyę, bluźni, pod wrażeniem strasznego losu, jaki spotkał jej brata — księdza podczas komuny. Wpływ proboszcza uspakaja zrozpaczoną Różę. Zwolna dziewczyna nabiera pełnej świadomości bolesnego wypadku, odczuwa wciąż jego zgrozę, ale władze duchowe nieszczęśliwej wracają już do równowagi. Coppée narysował psychologicznie wiernie postać Róży, w której przełom następuje stopniowo, póki dawna niewiara nie rozpływa się w chrześciańskiej pokorze i przebaczeniu ofiarnem. P. Kałużyńska grała dobrze, jeno trochę za prędko, wskutek czego zatraciły się w jej interpretacyi niektóre drobne rysy i odcienia, stanowiące właśnie główne zalety utworu.

Po latach dziesięciu wznowiono również 9-go bm. komedyę Fredry: „Gwałtu, co się dzieje.“ Jest to ostra, starodawnego autoramentu satyra na nierozważną emancypacyę kobiet. Dziś, pomimo niezaprzeczonego humoru, jaki wieje z tej komedyi, wydaje się ona nam anachronizmem.

Dyrekcya nie zadała sobie trudu z wystawieniem powyższej sztuki. Prawie zawsze mamy tę nieprzyjemność oglądać dekoracye pożółkłe i podziurawione, tym razem jednak przekonaliśmy się ostatecznie o ich budującej trwałości. Przy silniejszem poruszeniu się artystów — drzwi wchodowe „zatrzęsły się“ silnie i runęłyby na ziemię, gdyby nie... plecy artystów. J. B.

MISCELANEA.

Jan Matejko ofiarował swe wspaniałe dzieło pt.: „Pochód do kościoła św. Jana, po uchwaleniu konstytucyi 3-go maja“ na rzecz kraju. Sejm wyraził mistrzowi wdzięczność za bogaty dar, a różne instytucye, jak Tow. przyj. sztuk pięknych i Ossolineum przesłały Matejce gorące wyrazy hołdu i czci. Obraz zawieszony będzie tymczasowo w sali marszałkowskiej we Lwowie.

*** Dyrekcyi teatru hr. Fredry w Stanisławowie (którego inauguracya odbędzie się 18 bm.) oraz artystom przesyłamy szczere: „Szczęść Boże!“

*** Fragment dramatyczny K. Tetmajera pt.: „Mąż-poeta“ będzie wystawiony w teatrze krakowskim w tygodniu poświątecznym.

*** W dniu 7 b. m. odbyła się w Paryżu uroczystość przyjęcia w poczet członków akademii Juliana Viaud (Piotra Lotiego), głośnego autora „Rybaka islandzkiego“. Lotiwszedł do rzędu „nieśmiertelnych“, w miejsce zmarłego Oktawiusza Feuillet'a.

*** „Wszechświat“, znakomicie redagowane pismo warszawskie, poświęcone naukom przyrodniczym, ukończyło 3 bm. 10-letni okres istnienia. „Wszechświat“ walczył przez dłuższy czas z obojętnością ogółu, a byt swój zawdzięcza w przeważnej części moralnemu i materyalnemu poparciu grona ludzi dobrej woli.

*** Piękny utwór powieściowy Marka Polnicza (Mieczysława Pawlikowskiego), zasłużonego autora „Prawd i Plotek“, pt.: „Lat temu 44“, drukowany w „N. Reformie“, ukaże się w tych dniach w oddzielnej książkowej odbitce.

*** † Antoni Pawlik, prawnik, zmarł w Krakowie 5 bm. Pawlik cieszył się gorącą sympatyą tych wszystkich, do których się zbliżał. Pociągał on ku sobie kolegów zaletami serca i umysłu, a umiejętność obcowania z ludźmi i dziwna usłużność czyniła go popularnym wśród szerszych kół. Ś. p. Antoni miał żyłkę literacką, i zawsze marzył o tem, aby się poświęcić piśmiennictwu. Udatne nowele jego pióra, drukowane były niejednokrotnie w fejletonach pism. Autor ukrywał się pod pseudonimem Samuela Chama.

*** † St. Kraków, właściciel znanego zakładu chromo-typograficznego zmarł w Paryżu 9 b. m.

Wykonanie nagrobku dla śp. Oskara Kolberga, zasłużonego etnografa, powierzone zostanie rzeźbiarzowi p. Błotnickiemu.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**

indywidualizmu anarchistycznego, tak samo jak dzisiejszy porządek społeczny jest surogatem anarchistycznego bezrządu, w którym każdy swobodnie może ograbiać słabszego, dla zaspokojenia swoich pragnień indywidualnych.

Precz z indywidualizmem despotyzmu, precz z wyzyskiem — woła proletaryat; a okrzyk ten ma swoją zupełną racyę i w tej formie powtarzał się zarówno podczas rewolucyi francuskiej, gdy burżuazya zdobywała swe prawa, jak się powtarza dzisiaj, gdy stan czwarty s w o i c h się praw dobija.

Indywidualizm duchowy, objawiający się w dziełach wszelkich myślicieli, poetów i artystów — może rozwinąć się jedynie tam, gdzie warunki ekonomiczne nie wstrzymują jego rozkwitu. W dzisiejszym systemie wytwórczym, kleszcz kapitału przydusza wszelkie porywy samodzielności, zmieniając indywidua w maszyny.

Kapitalizm wycisnął piętno swoje na wszystkich rodzajach produkcyi: zarówno fizycznej, jak i duchowej. Usunięcie tego ucisku wyzwoli literaturę i sztukę z poniżającej niewoli kapitalistycznej. I wbrew płytkim przepowiedniom strachajłów stanowczo można twierdzić, że zdążający do tego wyzwolenia kierunek socyalno-demokratyczny w y w r z e n a l i t e r a t u r ę w p ł y w b a r d z o a b a r d z o k o r z y s t n y. Przyszłe pokolenia — na socyalno-demokratycznych zasadach wychowane — stworzą sobie literaturę i sztukę, której największą zasadą i celem będzie: prawda, równość i sprawiedliwość!

I. S.

Treść Numeru:

WIELKI WYBÓR BIŻUTERYJ

z prawdziwych amieni s zlachetnych

moldawitów, granatów, topazów, malachitów, ametystów i t. d.

w Agencyi czeskiej F. HOFMANNA

w Krakowie, ulica Grodzka, naprzeciw Magistratu.

Wykonanie gustowne. Ceny niskie.

Objąłem Zakład Dentystyczny

po ś. p. Docencie K. Goeblu

w Krakowie, przy Placu WW. Świętych Nr. 10, 1. piętro.

Oddział techniczny zostaje pod kierunkiem p. **LEMPARTA**, długoletniego zastępcy ś. p. Docenta K. Goebla w czasie jego słabości. Operacye wykonywa na żądanie przy znieczuleniu.

Dr. med. **Jan Starachowicz** dentysta.

Największy wybór

Fortepianów, Pianin i Fisharmonij

w Składzie

STANISŁAWA HORSZOWSKIEGO

we Lwowie, ul. Ossolińskich 1. 14.

Sprzedaż. Zamiana. Wynajem. Ceny bezkonkurencyjne.

NA RATY.

Wszystkim P. T. Inserentom, którym zależy na możliwie największem rozpowszechnieniu ich ogłoszeń w Galicyi i w Krakowie, polecamy wychodzący od lat jedenastu dziennik

»NOWA REFORMA«

organ narodowego stronnictwa postępowego i demokratycznego.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych.

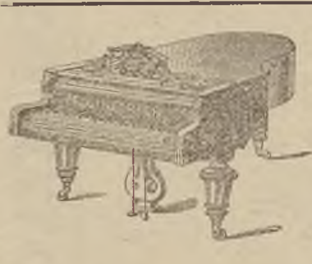
„NOWA REFORMA“ chociaż istnieje dopiero lat 11, mimoto należy do najpoczytniejszych ze wszystkich wychodzących w Galicyi polskich dzienników i jest **najwięcej rozpowszechnioną** w kołach mieszczańskich, inteligencyi i rolników. **Prenumerata** „NOWEJ REFORMY“ wynosi:

	rocznie	półrocznie	kwartalnie	miesięcznie
Na prowincyi z przesyłką pocztową	24 złr.	12 złr.	6 złr.	2.— złr.
W Państwie niemieckiem	28 „	14 „	7 „	2.50 „
W miejscu	20 „	10 „	5 „	1.80 „
Do Włoch, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, Turcyi itd.	32 „	16 „	8 „	3.— „

Pojedynczy numer kosztuje 10 cent., z przesyłką pocztową 12 cent.

Cena inseratów: Wiersz jednołamowy, drobnem pismem (petitem) za pierwszy raz po **10** cent., za następny raz po **5** ct. Przy większych i częstszych ogłoszeniach odstępuje się odpowiedni rabat. Załączniki do „NOWEJ REFORMY“ (prospekta, cyrkularze, ogłoszenia i t. p.) przyjmuje się za cenę **1** złr. od 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, **50** cnt. od 100 egzempl. dla miejscowych prenumeratorów. Należytość uprasza się **naprzód** nadesłać przekazem pocztowym. **Numera okazowe wysyła się na żądanie darmo i opłatnie.**

Adres Redakcyi i Admnistracyi: **Kraków, ulica św. Jana Nr. 13.**



Największy wybór

Fortepianów, Pianin i Harmonij

w Składzie

J. M. KORDECKIEGO

w Krakowie, ulica św. Anny, dawniej Hotel Victoria.

Sprzedaż zamienna. — wynajem.

JAN KOLIJEWICZ



Ruśnikarz

i znawca sądowy

w Krakowie

ul. Floryańska l. 55, dom WPana Kulczyńskiego

Przyjmuje zamówienia na broń różnych systemów, przerabia strzelby kapslowe na wszelkie inne systemy, uskutecznia reperacye, dorabia osady. **Posiada na składzie pałasze do szermierki. Oczyszcza rewolwery.** Wszystko spiesznie i po cenach umiarkowanych. Wysyłki załatwiam jaknajspiesznie pocztą. Ręcząc za dokładne wykonanie robót, polecam się Sz. P. T. Publiczności.

Na wystawach krajowych

najwyższemi nagrodami odznaczony

ZAKŁAD

WYROBÓW OBUWIA

G. WERNERA

w Krakowie, ulica Szewska Nr. 16

poleca:

wszelkiego rodzaju **obuwie męzkie** jak i **damskie** — podług najświeższych fasonów. Zakład wyrabia również tak zw. **obuwie racyonalne**, zastosowane do wymagań hygieny. Na żądanie uskutecznia takowe podług **gipsowych odlewów** zdjętych z nogi.

W powyższym Zakładzie dostać można wszelkich przyborów do konserwowania obuwia.

FABRYKA

Cukrów deserowych i Czekolady

A. NOWIŃSKIEGO

w Krakowie, ulica Bracka 5

poleca łaskawym względom Sz. P. T. Publiczności

NA ŚWIĘTA

BARANKI

od 6 centów do 1 złr.

CUKRY DESEROWE

$^{1}/_{2}$ kilo wraz z pudełkiem 1 złr.

Z głębokim szacunkiem
A. Nowiński.

Dra Rosa'ego Balsam życia

jest środkiem domowym łagodnie i skutecznie działającym, od przeszło lat 30 znanym, przywracającym trawienie, apetyt i usuwającym wzdęcie.

Wielka flaszka 1 złr., mała 50 ct., pocztą 20 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Poleca się również:

„Praską Uniwersalną Maść Domową“.

Takowa okazała się po wielu doświadczeniach jako skuteczny środek przy czyszczeniu, gojeniu bolących miejsc i działa przytem uśmierzająco i rozwalniająco.

W dozach po 35 i 25 ct., pocztą 6 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną **marką ochronną, uwidocznioną obok.**

Skład główny:

B. FRAGNER, PRAG

Nr. 203-204, Kleinseite, apt. pod czarnym orłem.

Przesyłka pocztowa codziennie.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**